

Marek Koszur

10/2025


TVSiódemka

Szczecin i Świat (& Mars)

ISBN: 978-83-974443-9-3

cena: 25,00

Internetowy miesięcznik
niesformatowany
ponad 4000 ściągnięć pliku w dniu premiery



Zbigniew Puchalski prezentuje makietę pięcioelementowego centrum radiowo-telewizyjnego (od prawej) Jerzemu Łukaszewiczowi, sekretarzowi KC PZPR odpowiedzialnemu za prasę i propagandę, Januszowi Brychowi, I sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie i gen. Florianowi Siwickiemu z KC PZPR, prawej ręce gen. Jaruzelskiego.

D o k ą d ?
Donikąd!

radio bardziej wiarygodne niż papier

Stoczniowcy -
Barcikowski

dplomacja
red. Bratkowskiego

Z e r o
artystostwa

kibice i polityka

Po godzinie
13.00

Manipulowany
Marsz Kobiet?

Edmund
Bałuka

Stocznia na baczność!?



Cud radia

Kilkadziesiąt elementów. Aby je połączyć, sprawny technik zdoła polutować je, przykręcić, lampy w gniazdach osadzić – w ciągu dwóch, trzech godzin. Gałka z lewej strony – pstryk, lekko do przodu i z głośnika zaczyna dobiegać szum. Prawe pokrętko – wybór stacji. Od najbliższej do... najbliższej. A pośrodku cały świat.

Sygnal radiowy z antypodów na klasycznym odbiorniku fal średnich lub krótkich dociera po 67–100 milisekundach. Jeśli przy twoim uchu ustawię mikrofon i powiem: „Kocham cię”, to moje wyznanie do drugiego ucha dobiegnie w czasie poniżej jednej dziesiątej sekundy. Mgnienie. Ale efekt będzie fantastyczny, bo to opóźnienie będzie jakby potwierdzeniem tego, co usłyszałaś bezpośrednio.

Gdyby wszystkie odbiorniki radiowe na świecie na chwilę dostroić do tego wyznania, w kosmos poszedłby wtedy przekaz, że Niebo właśnie zmieniło swoją lokalizację. Wtedy nie mogłabyś już uciekać się do wymówki, że nie słychać, że niewyraźnie, że to zakłócenia albo zniekształcenia.

Ech, jak cudownie być poetą. A radiowym – w szczególności.

Na okładce

Zbigniew Puchalski, wieloletni dyrektor Polskiego Radia w Szczecinie, także Ośrodka Radiowo-Telewizyjnego, pomysłodawca i realizator unikatowej nie tylko w krajowym wymiarze idei zintegrowanego centrum informacyjnego, radiowo-telewizyjnego. Jego celem było wykształcenie zespołu ludzi omnipotentnych w zakresie tworzenia serwisów informacyjnych audiowizualnych. Dziennikarz radiowy i telewizyjny to człowiek, który z wirtuozerią posługuje się warształem radiowca i reportera telewizyjnego.

Dziesiąty numer miesięcznika TVSiódemka kontynuuje i rozwija tematykę numeru poprzedniego - o tym, jak Ropzgłośnia Polskiego radia i środowiska szczecińskich dziennikarzy relacjonowało wydarzenia Sierpnia 1980 roku na antenie lokalnej, regionalnej i ogólnopolskiej.

Dokąd? Donikąd...!



W moim całym dziennikarskim doświadczeniu najbardziej nieodokreślonym jego elementem byli i są – odbiorcy: czytelnicy, słuchacze, widzowie. Dziś tę kwestię widzę bardzo wyraźnie. Wtedy – jak mi się wydawało – odbiorca był moim... szefem. Dziś inne priorytety obowiązują wśród „pracowników mediów”. Nieprzypadkowo użyłem tego opisowego określenia w odniesieniu do twórców relacji i serwisów informacyjnych. Dziś niemal każdy przekaz niesie określoną tezę, osadzoną w kontekście politycznej orientacji stacji.

W tamtych latach radio było jedno – Polskie Radio. W kraju, w którym kierunki rozwoju i normy wyznaczała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Owszem, było Radio Wolna Europa, była paryska „Kultura”. O ile pierwsze źródła – zagraniczne stacje radiowe – miały nie do przecenienia skuteczność w piłowaniu fundamentów socjalizmu, o tyle inne opozycyjne gniazda działały punktowo, środowiskowo. Co nie znaczy: słabiej czy gorzej.

Ale radio państwowe, radio powszechne, radio słuchane w kuchniach, fabrykach, taksówkach, na działkach i w domach, było jedno. I właśnie dlatego pytanie o odbiorcę miało wtedy zupełnie inny ciężar.

Pamiętam pierwsze dyskusje redakcyjne.

– Ale dla kogo to robisz? Kto ma być słuchaczem tego reportażu? Kogo chcesz poruszyć tym komentarzem? Ten felieton dla jednego słuchacza czy może dla dwóch? Jest tak hermetyczny.

Wściekałem się na tamte złośliwości. Niesłusznie. Bo choć niektóre rzeczywiście były mało wybredne, to ja je prowokowałem nieodkreśleniem mojego Odbiorcy, do którego poprzez radiową antenę czy łamy gazety się zwracałem. Pytałem wówczas – jak to dla kogo... Dla wszystkich!

Dziś wiem, że taki wariant nie istnieje. Powiem więcej: zyskując jednych, traci się innych.

Sztuka godzenia, inspirowania do myślenia, a nie do wzajemnego zwalczania się, to element dziennikarskiej wirtuozerii. A do jej uprawiania potrzebne są prasowe Stradivariusy, których – jak niemal wszystkiego w socjalizmie – nie było i... nie ma do dziś. Nie ma tytułów, rozgłośni czy stacji naprawdę politycznie zbalansowanych. Jest ich więcej, owszem. Ale nie znaczy to, że rynek medialny w swej istocie się zmienił. Przeciwnie: polaryzacja sięga dziś o wiele głębiej, a odbiorca częściej niż dawniej dostaje nie zaproszenie do myślenia, lecz gotową instrukcję, kogo ma kochać, a kogo zwalczać.

Dziennikarze zawsze mieli w sobie coś z propagandzisty. Dziś nieliczni propagandyści mają w sobie jeszcze coś z dziennikarstwa. Coś trudnego do uchwycenia i opisania, ale wyczuwalnego.

Dziś odczytuję tamto moje oburzenie na konieczność zdefiniowania odbiorcy moich materiałów z pewnym zawstyżeniem. Powiem więcej... Wtedy tworzyłem reportaż czy pisałem artykuł przede wszystkim... dla siebie. Reportaż musiał mi się podobać. Dbałem o mojego bohatera. Uwypuklałem jego piękne – w mojej ocenie – cechy lub z całą mocą napiętnowałem te złe, naganne, te domagające się społecznego osądu.

„Wczoraj” i „dziś” w tym zawodzie to pozorna różnica, ale odkrywa się ją dopiero po latach. W tym bowiem fachu jeden czynnik jest niezmienny. To właśnie odbiorcy. Trzeba tak kreować swoje materiały, aby najwięcej treści i emocji udało się przekazać największej ich grupie. Odbiorcy są jak bibuła spragniona atramentu. Pomijam materiały specjalistyczne. Ale w sumie także te – pamiętam doskonale rozmowę z Tadeuszem Stoińskim, ówczesnym wiceszefem radia – musiały mieć zdefiniowanego odbiorcę.

– Jedno zdanie, choćby przecinek daj takie, aby ci najmądrzejsi mogli odwrócić głowę w stronę głośnika i uznać, że nie robisz audycji, ale poważny program, którego nawet oni mogą wysłuchać. Takim jak oni wystarczy jedno zdanie. Ale wycelowane w punkt.

Akceptować. Reagować. Komentować. Przekonywać. Uświadamiać. Pobudzać. Ile takich zawodowych wytrychów-kluczy do odbiorców dziennikarskiej roboty dziś jeszcze funkcjonuje? Moim zdaniem – praktycznie żaden. Dziś tą przestrzenią zarządzają pilot, Wi-Fi, Bluetooth czy inne protokoły zdalnego przekazywania treści uzbrojone w hasło, skrót, symbol, emotikon. To te kadłubki prawdziwych treści wyparły tamtą metodę wręcz transcendentnej relacji między informatorem i odbiorcą. Tak. Bo dziennikarz przekazuje to, co widział i słyszał, tym, którzy nie byli świadkami wydarzenia. Nie przekazują jednak samych faktów. Przenosi także – a może przede wszystkim – emocje.

I właśnie dlatego dzisiejsze media tak łatwo mylą odbiorcę z odbiciem własnych politycznych emocji. Odbiorca przestał być dla wielu redakcji punktem dojścia. Stał się zakładnikiem ich własnych sympatii, lęków i układow.

Dziś emocje rzadko rodzą się z uczciwego opisu świata. Częściej są gotowym produktem politycznego zamówienia. Nie dlatego, że świat przestał dostarczać tematów. Przeciwnie – jest ich więcej, niż człowiek może unieść. Ale niektóre redakcje widzą go wyłącznie przez poranną „misę”: maile od rzeczników, gotowe komunikaty, podsunięte tropy, prośby tych, których trzeba właśnie wesprzeć albo oszczędzić. Tak rodzi się zaściankowość – nie z geografii, lecz z wygody, zależności od podsuwanych tematów i z obsady etatowej: jeden i pół dodatkowego redaktora. Taka redakcja nie odkryje świata. Czeka, aż świat zostanie jej podany.

Na rodzimym podwórku wystarczy przejrzeć tytuły. Poprzedni

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik niesformatowany
Do druku oddano 23 stycznia 2026 roku.

Redakcja: Marek Koszur, Małgorzata Wrzosek
Sekretarz redakcji: Julia Nadolna

Wydawca: MK NET - TV Siódemka,
Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin,
Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl

minister wali w obecnego. Autor materiałów śledczych z wirtuozerią porusza się między pokojami prokuratury czy policji. Dziesiątki innych sfer życia miasta pozostają nietknięte dziennikarskim okiem.

Gdyby przybysze z kosmosu mieli wyrazić opinię o mieszkańcach Szczecina na podstawie głównych tematów podejmowanych przez niektóre tytuły prasowe, napisaliby: miłośnicy ulubieńców organów ścigania, zawzięci rowerzyści, ludzie pasjami śledzący kupowanie tramwajów. Gazeta o atomowym wręcz poziomie zasług i zaufania nie wzruszy dziś nawet Marsjan swoim serwisem, opartym na trywialnej, układowej, lizusowskiej wręcz relacji między jej 1 i ½ autorem a stałymi źródłami newsów, poza które od lat nie wychodzą. Są dziesiątki dziedzin życia, których pióro tej redakcji nigdy nie dotknęło. Powstaje krzywe zwierciadło zamiast prawdziwego oblicza miasta. Takie dziennikarstwo nie ma nic wspólnego z... dziennikarstwem. To słup ogłoszeniowy i miejsce wygłaszania frustracji wobec przeciwników politycznych, po których można ujeżdżać do woli.

Setki sfer życia poza tymi, w których autorzy mają dobrych suflerów – pozostają nietknięte dziennikarskim okiem. Refleksja, krytyczna ocena, recenzja? Nie. W żadnym wypadku! Tu wszystkie zespoły są całkowicie zgodne. Nikt nie ocenia, bo nie ma ku temu kwalifikacji, wiedzy, umiejętności i... odwagi.

W numerze dziewiątym naszego miesięcznika podejmowałem kwestie politycznego kręgosłupa dziennikarzy.

Odnoszę wrażenie, że Darwin miałby nie lada kłopot, pisząc o procesach ewolucyjnych środowiska dziennikarskiego. Wykazuje ono wszelkie cechy postępu wstecznego: utrata kręgosłupa, powrót na gałęzie, pośród maskujących liści, całkowita utrata funkcji błędnika i wzrok szczególnie wybiórczy.



Liderzy partyjni i urzędnicy zajmujący najwyższe stanowiska są dla tutejszych mediów tematami tylko wtedy, gdy trzeba ich pochwalić, podliczać się im, ominąć pytania istotne i celne, tworzyć przyjazną aurę i klimat wokół reprezentantów opcji, z którą utożsamia się redakcja. To, że każdy z tych urzędników dzierży nieprzyznane mu miano „siebiewida”, w odróżnieniu od „Światowida”, nikt nie pisnie nawet słówkiem. Codzienne serwisy społecznościowe pokazują żalostny festiwal autoprezentacji, rzygający wręcz potrzebą pokazywania siebie z byle jakiej okazji, w byle jakim celu, ale jak profesjonalnie! Trwa "media gwałt" wojewodów, prezydentów i marszałków, uzurpujących sobie cechy boskie wobec wyborców: daliśmy wam, przekazaliśmy im, dzięki naszemu wsparciu...

Zachodzę w głowę: kto wmówił tym ludziom, że są wyjątkowi? „Daliśmy wam”, „przekazaliśmy im”, „dzięki naszemu wsparciu”... Skąd to boskie „my”? Przydzieliliście albo przekazaliście, bo taki jest sens i zakres waszych obowiązków. Chwalicie, poklepujecie po plecach, uprawiając cywilne pasowanie na rycerzy.

Czy którykolwiek z was kiedykolwiek zapytał na przykład krwiodawcę, czy chce, abyście robili sobie z nim zdjęcie? Ludzie w pierwszym odruchu zgodzą się: jasne, czemu nie, wojewoda... A to jest gwałt. Tego zdjęcia krwiodawca nie wycofa z mediów. Żadna apelacja nie pomoże. Zostanie na zawsze ofiarą medialnego wampira, tym razem na etacie wojewody.

To będzie temat jednego z najbliższych wydań miesięcznika TVSiódemka. Opowiemy m.in. o Szczecińskim Kojaku. Zanim to nastąpi – sugeruję i proszę – obserwujcie Państwo wojewodę, marszałka i prezydenta. Bądźcie komisją kolaudacyjną ich filmowych produkcji i specjalistami od obsady. W jakich filmach obsadziliby Państwo naszych oscarowych kandydatów? Do jakiej roli najlepiej się kwalifikują? A może wspólnie napiszemy scenariusz z obsadą dla trójki szczecińskich wydmuszkieterów?

Państwo już wiedzą: dygresje to moja jedyna słabość... Więc nie będę już za nie przeproszał.

A przecież dziennikarstwo zaczyna się tam, gdzie nie wystarcza odnotować faktu.

Pamiętny pożar Kaskady... Każdego roku w Internecie pojawiają się przypomnienia tamtej tragedii. Zrealizowałem wówczas dwa reportaże. Mam te nagrania, ale nie mogę się zdobyć na ich ponowną publikację.

Kolejny raz odsłuchuję rozmowę z komendantem straży pożarnej. Stoimy pośrodku Sali Kapitańskiej „Kaskady”. W tle najdziwniejsze odgłosy pracy strażaków, przeszukujących pogorzelisko. Na głowy kapie nam woda. Mówimy o przebiegu pożaru.

W tym drugim reportażu rozmawiam z uczennicą, która się uratowała. Widziałem ją z okien gabinetu szefa Biura Turystycznego, którego budynek sąsiadował z Kaskadą. Oni – te dzieciaki – stali w otwartych oknach „Kaskady”, a najdłuższe drabiny strażackie były za krótkie, by podejść do parapetów i sprowadzić na ziemię tych licealistów.

Dlaczego nie publikuję tych nagrań? Bo nie ufam, że zostaną wysłuchane do końca. Są za długie na dzisiejszy standard kilkusekundowych filmików. Tamte nagrania mają swój rytm tragedii, drżenia głosu i palących oczu, bo dym, śwąd i wyobraźnia odżywiają, gdy słyszę pracę agregatów prądotwórczych, pomp tłoczących wodę.

Wiem, to niezbyt fortunne porównanie, ale ma ono dla mnie swój sens. To tak, jakby dzieło sztuki zobaczyć w sekundowym ujęciu. Nie dość, by się nim zachwycić, zapamiętać, a tym bardziej – przeżyć. W sekundowym ujęciu można odnotować, że Mona Lisa istnieje. Nie można jednak powiedzieć, że się ją naprawdę zobaczyło.

Te uwagi notuję na marginesie lektury maili i notatek z rozmów telefonicznych po ukazaniu się numeru 09 TVSiódemki. Zawierał on materiały związane głównie z Sierpnem 1980, w ujęciu zapisów radio-

wych. Cały numer TUTAJ do ściągnięcia. www.tvsiodemka.pl

Niefortunne, niemądre zdanie autorki wprowadzenia do przedziwnego w swojej konstrukcji materiału Szpieg z audycji „Studio Bałtyk” (TS 5738-2) nadal widnieje na stronie Radia Szczecin. I powinno tam pozostać jako czytywisty znak czasu, a nawet dokument. Dokument utraty poczucia sensu, perspektywy, pokory zawodowej i dystansu do samego siebie.

Czytam na stronie Radia Szczecin:

Do strajku przylączyły się kolejne szczecińskie przedsiębiorstwa.

Media usiłowały tonować nastroje. W jaki sposób? Posłuchajcie „Szczecińskiego popołudnia” – audycji, w której omawiano najważniejsze wydarzenia dnia. Taki dzisiejszy TiM. 45 lat temu w programie znalazły się: fragmenty Kroniki Telewizyjnej i Studia Bałtyk oraz korespondencje Marka Koszura i Ryszarda Bogunowicza. Główny temat to strajki, zaopatrzenie, paraliż komunikacji i obrady Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie. (...) Czy dziennikarzom udało się załagodzić sytuację, uspokoić szczecinian? Prędzej udałoby się zawrócić kijem Wisłę, a właściwie Odrę, ale próbowano.

Bzdura na bzdurze. Już sam opis dokumentu nie wytrzymuje próby elementarnej dokładności.

„Szpieg” – tak nazywano taśmę z zapisem całego programu emitowanego na żywo – ma być zapisem „Studia Bałtyk”, ale w treści nagle zamienia się w „Szczecińskie popołudnie”. Czy chodzi o tytuł audycji, czy o fragment większego programu? Czy autorka słuchała tej taśmy, czy tylko przepisała cudzy opis? W sprawie takiej jak Sierpień 1980 to nie jest drobiazg. To elementarz. Albo: „taki dzisiejszy TiM”... Nie wiem, co znaczy ten skrót: TiM. Pewnie konurent CNN...

Niczego nie próbowaliśmy.

Wydarzenia sierpniowe nie były teatrem, a my aktorami czy statystami na scenie. Tonowaliśmy nastroje? Nie! Podawaliśmy rzetelne informacje. Pokazywaliśmy obraz miasta, obraz, który eliminował wszelkie spekulacje i panikę. Rzetelnie opisywaliśmy godzinę po godzinie.

„Czy dziennikarzom udało się załagodzić sytuację?” O czym tu mowa? No, jeśli pisze się podobne myśli, to żaden kij długości Amazonki nie starczy, by niekompetencję tych słów odwrócić w sens.

Pomijam, by nie zostać posądzonym o małostkowość, kwestię pewnej odwagi w wygłaszaniu tak niedorzecznych opinii.

Oczekuję, że kierownictwo redakcji uzupełni powyższy opis stosowną klauzulą, cieniem elementarnej powściągliwości zawodowej: pogląd wygłoszony przez autorkę jest jej prywatną opinią, z którą Redakcja Radia Szczecin nie musi się utożsamiać. Chyba że redakcja podziela tę myśl, że dziennikarze Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie w okresie przełomu 1980/1981 byli zawodowymi niedotęgami, propagandzistami, konformistami, wręcz tchórzami.

Nie ma na obecną postawę Radia Szczecin mojej zgody.

Zgody świadka i bezpośredniego uczestnika, a zarazem kreatora tamtych medialnych faktów. Odpowiadałem za wszystkie ówczesne serwisy informacyjne radia, a po części także telewizyjne. Wszystkie opublikowane informacje, relacje, komentarze przeszły przez moje ręce, a dalej – uzyskiwały akceptację kierownictwa Rozgłośni. Nie przypominam sobie ani jednego „zdjętego” z anteny materiału. Nie było też żadnego „wciśniętego” produkcyjniaka czy ideologicznego granatu, narzuconego przez kogokolwiek. Nie było takich faktów.

I jeszcze jedna uwaga.

Stanu wojennego czy przebiegu wydarzeń Sierpnia nikt już nigdy krytycznie, w oparciu o archiwa mediów, nie opisze. Ale to nie znaczy, że mamy nie podjąć każdej próby uratowania choćby najmniejszych świadectw. Nie ich wielkość jest tu ważna, a autentyzm. Świadectwo jest zawsze poza podejrzeniem.

Tymczasem dokumentów nikt już nie uzupełnia relacjami świadków. Bo mogą nie pasować do obiegowych opinii. Nie potwierdzać tezy politycznej. Partyjnej wykładni tamtych wydarzeń. Odarty z pokory „słuszny obiektywizm” to ewentualnie jedyna dziś metoda odfajkowania tamtych tematów.

Dziś chyba już nigdzie nie tworzy się dokumentacji na temat Sierpnia i stanu wojennego. Nikt nie schyla się po wciąż dostępne w pamięci świadków wydarzenia i wspomnienia. Dziś nawet nie nęci autorów literacka kreacja, fikcja wypływająca z mitu grudniowego.

Ci, którzy dziś mówią o zawracaniu Odry kijem, przegapili życiową szansę na stworzenie dokumentacji opartej o wnikliwe i wszechstronne odpytanie świadków. Na to jest już za późno. Najważniejsi z sierpniowych bohaterów odeszli. Tak jak pamięć o nich zamienia się w mgłę. Pozostały archiwa. Tych nie zmieni nic poza ogniem lub nożycami, które je potną. Ale nawet te dokumenty, pozbawione dopowiedzenia, kontekstu, pozostaną ciągle gorejącym płomieniem nad miejscem, w którym jeszcze do niedawna stała świeca, płomień pamięci podtrzymująca. Świeca się wypaliła. Ogień, gdy się zorientuje, sam zgaśnie.

Dlatego z najpilniejszą starannością, dzięki pamięci żyjących świadków tamtych dni, należy uzupełnić archiwa, opatrzyć je nie filipikami o kręceniu nurtem Odry, a rzetelnym komentarzem historycznym. Czekam na współczesną wersję „Szpiega nie z radiowej rzeczywistości”.

A skoro o radiowych sprawach wewnętrznych wspomniałem...

Jakiś czas temu byłem w radiowym newsroomie. Przeglądaliśmy zasoby archiwalne, które – raz jeszcze dziękuję radiu za udostępnienie – wykorzystałem w moich obecnych realizacjach.

– Tak was niewielu, a tyle szaf macie?

I potoczyła się opowieść o zawartości tych szaf. Nie zaglądałem, więc tylko relacjonuję rozmowę: pełne są taśm z audycjami, które z półek radiowego archiwum powędrowały do wielkich pojemników na odpady. I omal nie wyjechały na śmietnik.

Ciąśnienie skoczyło mi w sposób dotąd nienotowany.

– Wyciągnęłyście te taśmy ze śmietnika? Uratowałyście oryginały?

Omali nie straciły pracy. Zostały wezwane przez prezesa, a na brzmienie jego nazwiska jeszcze dziś zatrzymują się w bezruchu.

– Ale was nie wyrzucił?

Opowiedziały ciąg dalszy. Ale to nie powinna być moja historia. Szanowne panie, oto miałyście namiastkę waszego Sierpnia. Macie ją do dziś.

Wasz były prezes jest dziś jedną z trzech najbardziej rozpoznawalnych postaci miasta. Niemal każdego dnia publikuje w mediach społecznościowych filmiki. Ich liczba, czas trwania i miejsca realizacji każą postawić proste pytanie: jak godzi tę aktywność z pełnieniem funkcji urzędnika państwowego najwyższej kategorii wojewódzkiej?

Nie chodzi o odbieranie komukolwiek prawa do obecności w mediach społecznościowych. Chodzi o proporcje, przejrzystość i szacunek dla czasu, który powinien należeć do obowiązków publicznych. Gdy codzienna autoprezentacja osiąga taką skalę, przestaje wyglądać jak niewinne hobby realizowane po godzinach. Wymaga czasu, organizacji, przygotowania, dojazdów i zaplecza.

Obywatele mają prawo pytać, kiedy powstają te materiały i czy ich przygotowanie, realizacja oraz publikacja nie odbywają się kosztem obowiązków wynikających z pełnionej funkcji.

Ale to, jak wspomniałem, temat jednego z kolejnych nowych numerów miesięcznika. Natomiast panie, szanowne reporterki – czekam na waszą wersję „Szpiega z funkcjonowania Radia Szczecin”, choćby tylko w odniesieniu do likwidacji archiwum radiowego. Sposób przeniesienia zasobów do obiektów Archiwum Państwowego w Białej Górze to temat dla pań autorek obowiązkowy! System numerowania, katalogowania, opisywania zawartości taśm to Himalaje amatorszczyzny.

Pracowałem tam wiele tygodni w ciągu dwóch lat 2022/2023. Dzięki fantastycznej pomocy archiwistów udało mi się zlokalizować kilka moich audycji, jak sądzę ważnych. Ale nikt się o nich nie dowie, jeśli szukając dokumentacji na przykład na temat kapitana Karola Olgierda Borchardta zobaczy na ekranie wynik „0”. Ale ten, w kim obudzi się podejrzenie, że może ktoś źle zapisał to nieoczywiste, choć sławne nazwisko z błędem, ten odnajdzie kilka taśm.

Zatem kije, to znaczy wiosła, w dłoń. Niech panie opowiedzą historię archiwum Radia Szczecin.

4177 ściągnięć numeru dziewiątego miesięcznika TVSiódemka w dniu premiery pokazuje, że wokół gazety zgromadziło się już liczące się i uważne grono Czytelników. Gazeta wydawana jest wyłącznie nakładem własnym. Nie publikuje żadnych reklam. Nie ma dofinansowania. Ma tylko poczucie obowiązku. Napędzają nas trafność i wnikliwość komentarzy ze strony Czytelników.

A skoro o komentarzach mowa – poniżej fragmenty z korespondencji mailowej i rozmów telefonicznych z Czytelnikami TVSiódemki na temat numeru 09/2025 miesięcznika.

– Wysłałem panu zdjęcie mojej „Selgi”. Dziś nikt już nie wie, co nazywaliśmy kiedyś „tranzystorem”. A ja mam ten odbiornik radiowy od mojego ojca. Ten „cud” ówczesnej techniki był produkowany od 1963 roku. Ile nocy i dni spędziliśmy przy słowicznym pisku tego prymitywnie skomplikowanego w sumie urządzenia. Ale na tamte czasy to naprawdę był luksus. Ale do rzeczy... W sierpniu, potem w stanie wojennym, w ogóle – w tamtych latach radio nie miało konkurencji. Słusznie pan zauważa: gazeta była drukowana raz dziennie, a radio nadawało całą dobę. W każdej chwili każda informacja mogła być przekazana natychmiast. W sytuacjach kryzysowych informacja była ważniejsza niż łyk wody. Słuchaliśmy „tranzystorów” na okrągło.

Kolejny mail również odnosił się do radia jako źródła informacji.

– Mam w domu trzy „Julie”. Proszę pana, pan pewnie pamięta – to były na owe czasy polskie tranzystorowe radioodbiorniki klasy „S”. Eksportowaliśmy je do NRD, z wmontowaną ukaefką do odbioru tamtejszego pasma. Radio nosiło się pod pachą, w ręce, w kieszeni. Radio stało w kuchni, w sypialni, na działce i na plaży. W samochodzie – obowiązkowo. A wtedy, w sierpniu – brak radia był nie do zaakceptowania. Nie zapomnę tego uczucia, gdy z głośnika dobiegały piki, te sygnały poprzedzające pełną godzinę. Bo o pełnej nadawano wiadomości. Jak się wtedy wszyscy wyciszali... Radio miało głos. Świat milczał, gdy radio mówiło.

Kolejna grupa Państwa komentarzy dotyczyła, co

ciekawe, nie szczegółów wydarzeń, korygowania dat czy opisywania faktów. Zwracali Państwo uwagę na kwestię „dziania się historii”.

– Historia szyla nam wtedy buty! – powiedział jeden z Czytelników.

Buty... Oczywiście! Od ich jakości zależy dystans i kondycja, w jakiej przetrwamy drogę prowadzącą do nie wiadomo dokąd. To kolejny aspekt wychwycony przez Czytelników.

– Ja panu opowiem, że my się chyba nie zastanawialiśmy wtedy, o jaką Polskę walczyliśmy. Walczyliśmy o inną Polskę. To była zbyt abstrakcyjna kwestia: zmienić kraj? Na jaki? Jak Niemcy Federalne? A jakie one były naprawdę? Kto to wiedział? Na Amerykę? Jeszcze większa mrzonka. My się martwiliśmy, co uda się jutro, pojutrze kupić albo czy te czołgi rzeczywiście nie wyjadą na ulicę. Te czołgi to nie jest, nie było żadne science fiction. W tym obozie politycznym sprawy trudne rozwiązywano najprostszymi metodami – Młynarski śpiewał: przyjdzie walec i wyrówna. To był nasz hymn. Muzykę napisał sam Jerzy Wasowski, a Młynarski zaśpiewał ją pierwszy raz w 1971 roku. Kojarzy pan? Kto jeszcze potrafi czytać tak zakodowane treści? 1971...

– Myślałam, że zwariuję. Mąż – w stoczni, dwaj synowie – w stoczni, synowa – w stoczni. Jej ojciec – w stoczni. Moi dwaj sąsiedzi z klatki schodowej – w stoczni. A ja – po ciężkiej operacji - sama, w domu. Duga synowa w ciąży. Dziewiąty miesiąc...

Wzruszająca rozmowa. Tyle się zawsze mówiło o górnikach. Że pod ziemią, że strajkują. Zdjęcia umorusanych twarzy, świecące oczy, przekrwione spojówki. O stoczniowcach nikt tak nie pisał. Byli grupą „bez konterfektu”, powiedziałby ten i ów. Bo co to była ta stocznia? A, tak, budują statki. Ale te statki to one pływają gdzieś daleko...

Świadomość odrębności Szczecina, specyfiki mieszkańców, to były kwestie funkcjonujące poza ogólnopolskim obiegiem politycznych treści. A to tu właśnie, w Stoczni im. Adolfa Warskiego, zaczynało się najwięcej wydarzeń, które przeradzały się w krajowe wstrząsy. Szczecin był strajkogenny. Był najbardziej niepokornym miastem w Polsce! Jest nim także dzisiaj?



– Pan pozwoli – mam 97 lat. Byłem na froncie. Rosyjscy żołnierze mnie zgarnęli. Byłem sierotą. Szedłem z nimi. Miałem chyba piętnaście lat. Pamiętam dobrze te sytuacje, gdy rozpoczynał się atak. Atak to był chaos i armagedon w jednym. Ja do dziś nie rozumiem, dlaczego ci wszyscy ludzie podrywali się z okopów. Ja razem z nimi. I szliśmy wprost pod ogień przeciwnika. Jest coś w naturze człowieka, co w pewnym momencie wyłącza wszelkie komentarze. Liczy się cel. Ja byłem gotowy iść na te czołgi... Wie pan, budzę się nieraz w nocy. Mam 97 lat. W ogóle, czy ja jeszcze śpię? Ot, zamykam oczy i oglądam ten film z życia. Dwa momenty mam kolorowe we wspomnieniach. Leśna polana, za lasem rzeka... I piękna słoneczna pogoda. W oddali dudnienie artyleryjskie jeszcze wczoraj płoszyło ptactwo. Dziś – cisza. Podjeżdża gazik. Wyskakuje jakiś podoficer. Ludzie! – woła. Wojna się skończyła! Nie umiem panu o tym opowiedzieć, bo do dziś coś tak ścisca gardło... Przepraszam... A druga chwila – to te słowa: mamy nasze samorządne, niezależne związki zawodowe. Wie pan, nie chodzi już o te związki. Nie ma znaczenia: nowa lista obostrzeń, a dłuższa – wywalczonych wolności. Ważne było to, że byliśmy społeczeństwem zjednoczonym, skoncentrowanym na celu. Pełni determinacji, po której dziś próżno szukać śladów.

Jedna z najtrudniejszych rozmów... Mogłem tylko karnie słuchać. Myślałem o tym, czy w życiu człowieka istnieje data, po której człowiek przestaje marzyć?

– Pamiętam, jak moja babcia i mama ciągle narzekały. A ja się denerwowałam. One mówiły: jakie to dziś jest to radio. Wszędzie wrzeszczą i krzyczą, i to po angielsku. A kiedyś była piękna polska piosenka, były piękne treści. Piękne głosy, nikt nikogo nie tykał. Radio było eleganckie. Dziś muszę im chyba przyznać rację, choć nie wiem tak naprawdę, jak tamto pana radio „wyglądało”. Ale jeśli radio mówiło tak, jak między sobą rozmawiają moja mama z moją babcią, to... to musiało być ładne radio.

A ta rozmowa była rzeczywiście zaskakująca.

– Wyobraża pan sobie, że wraca do radia, za oknami jest kolejny sierpień, a w głowach ludzi chaos jak wtedy – podszyty strachem?

– A co to dziś jest strach, pani zdaniem?

– Dobre pytanie. Miło... Strach to taki stan świadomości, który zmusza do działania. A czym dziś jest pan w stanie przestraszyć dwudziesto-trzydziestolatków? Że im pan te smartfony zabierze? Dziś, moim zdaniem, do takiego Sierpnia nie dojdzie. Wtedy łączyła nas szarość rzeczywistości. Dziś zgubiliśmy się w jej kolorach. Czy w sierpniu 1980 roku widział pan na ulicy dziewczyny tak roznegliżowane? A chłopców, którzy mają kłopot z dodawaniem i mnożeniem, że o pierwiastkach nie wspomnę.

– Krzywdzące.

– Nie w odniesieniu do jednostek, ale w ogólności? Widzi pan zakład pracy tak jak tamta stocznia? 6–8 tysięcy pracowników? A każdy z tych mężczyzn jedną ręką podnosił pół tony. Pan rozumie, co ja mówię. Mój ojciec i dziadek pracowali w stoczni. Ojciec w jachtowej. A dzisiejsze pokolenie tamtych rewolucjonistów? Ja mieszkam w wieżowcu na Osiedlu Kaliny. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś mi się uklonił... Kiedyś – nie do pomyslenia. A druga sprawa to Kościół. Teraz judzą, wtedy – na larum wołali. Jak wszędzie, także w kościele było wielu łobuzów. Dziś, jak wobec każdego, mam dla księży ludzki szacunek. Ale nie można ich porównać z tamtymi. Wtedy – bronimy Polski, wołali z ambony. Dziś – przegnamy tamtych – wykrzykują.

– A gdybym miał dla pani bilet na podróż do 1980 roku?

– Pojechałabym tak, jak stoję!

– Mogę się z panią zabrać?

Nie pamiętam, czy wypowiedziałem te słowa...

Ta rozmowa nasunęła mi pomysł na grę... Taki test – sprawdźmy, czy i jak długo przeżyłbyś w tamtej epoce... I tu należałoby historię Polski podzielić na okresy, poczynając od odzyskania niepodległości w 1918 roku. Tak modne są teraz te przebieranki w stare suknie, surduty, kapelusze i rękawiczki. Paradują po mieście państwo rekonstruktorzy. Wzbudzają zainteresowanie, uśmiech, a może nawet podziw. Jest ich coraz więcej.

Gdyby tak poza frakiem, smokiem, szapoklakiem czy tiurniurą udało się odtworzyć te cechy mentalne, które są podstawą czujności obywatelskiej, konieczności poszanowania drugiego, a w sporach najbardziej nawet zagorzałych przeciwników zachować umiar przy najbardziej nawet krwawych, ale słownych potyczkach, może znów zacząć się budowanie społeczeństwa „sierpniowego”?

Dziwią się Państwo? Tak, marzy mi się, a zarazem postuluję – pewien powrót do społeczeństwa – dziedziców w pierwszej linii tamtego Sierpnia. Do przywołania jego celów i odświeżenia sposobów osiągania sukcesów.

Pewną nadzieję wiąże z bardzo rozsądnym i rozważnym tworzeniem klimatu wokół Świąticy Wolności*.

- Świątlica Wolności – dawna Główna Świątlica Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego – jest obecnie przywracana przez Centrum Solidarności „Stocznia” jako ogólnodostępne miejsce kultury, z planowanymi stałymi wystawami o przemyśle stoczniowym i NSZZ „Solidarność”, działalnością edukacyjną oraz cotygodniowym zwiedzaniem w ramach „Świątlicowych śród”.

Spośród wszystkich zjawisk szczecińskiego muzealnictwa czy też dokumentowania społecznej pamięci właśnie ta inicjatywa może pójść w dwie strony. Może przerodzić się w kartonowy patriotyzm, pełen plansz, powiększonych zdjęć nieogolonych twarzy, zaciśniętych pięści. Ale może też stać się miejscem, w którym pamięć będzie pracowała, a nie tylko pozowała do fotografii.

Nie na tym polegała siła tamtego Sierpnia.

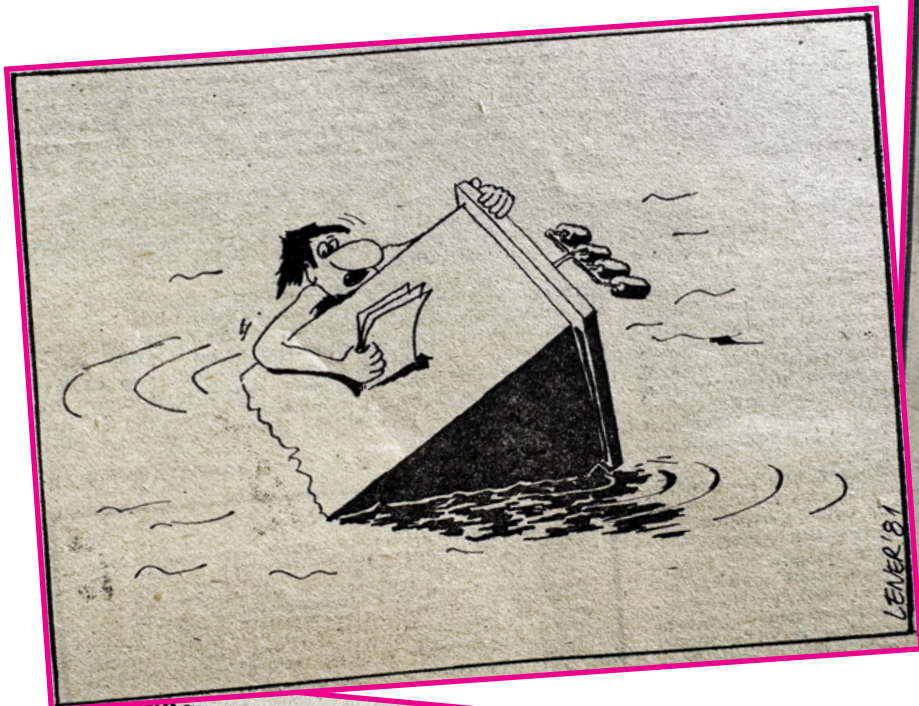
Tamten Sierpień był bólem rozkwitania... marzenia. Miał wizję. Kierunek. Szedł niekiedy zbyt mocnym krokiem, pomagając sobie łokciami, ale cel widział wyraźnie. I go osiągnął.

Cały problem dziś polega na tym, że nie tylko celu nie umiemy zdefiniować, to kompasu nam brak, a jeśli nawet ktoś znajdzie taki na demobilu, jego dewiacji nie sposób już skorygować.

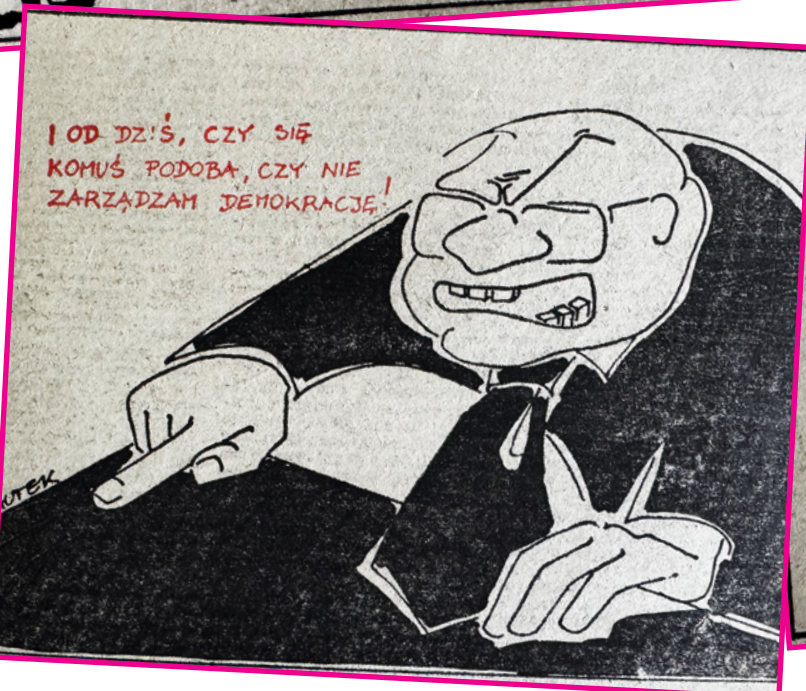
I popłyniemy wprost na szkiery...



prze-RYSUNKOWY przegląd prasy 1980/81



Rysunki z tygodnika Jedność - mimo prób, nie udało się odnaleźć autorów, których przepraszamy za nie podkreślenie ich autorstwa.



Stefan Bratkowski w Szczecinie

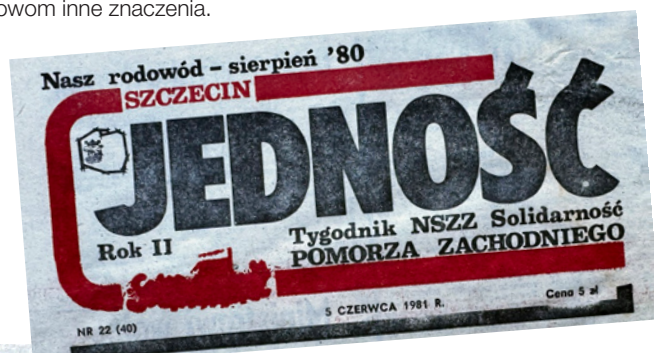
Rozmowa o liście, Barcikowskim i polityce porozumienia

Nie miałem wątpliwości,

że mimo upływu tylu lat warto wrócić do tej tak nieoczekiwanie odnalezionej taśmy reporterskiej. W panoramie zdarzeń lat 1980–1981 list prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefana Bratkowskiego do delegatów na Wojewódzką Konferencję Wyborczą PZPR w Szczecinie, napisany po sierpniowym zwycięstwie społeczeństwa polskiego, może wyglądać jak epizod. Czy może jednak powiedzieć coś więcej o nas dzisiejszych, o współczesnych relacjach między władzą, partią i państwem?

O partii piszę w liczbie pojedynczej. Bo interesują mnie mechanizmy i motywacje uniwersalne, leżące u podstaw każdej partii jako formy reprezentacji społecznej.

Taśma reporterska i list Bratkowskiego mają wspólną cechę: są stemplem czasu. Taśma zachowuje kolejność pytań i odpowiedzi, ton rozmowy, zawahania, akcenty. List pokazuje, co jego autor chciał powiedzieć delegatom, zanim późniejsze wydarzenia nadały jego słowom inne znaczenia.



List Prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefana Bratkowskiego do delegatów na Wojewódzką Konferencję Wyborczą PZPR w Szczecinie

Drodzy Towarzysze!

W ciągu ostatnich miesięcy ja i moi współtowarzysze ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich parokrotnie zwracaliśmy się do naszej opinii publicznej w sprawach o zasadniczym, jak się nam wydawało, znaczeniu. Mam prawo obawiać się, że te listy i apele, z reguły w ostatniej chwili formułowane, zdewalowały się. Poza dobrą wolą i jakimś tam stopniem poinformowania o biegu dziejących się spraw w Rzeczypospolitej nie mieliśmy w końcu żadnych innych podstaw do formułowania tych wypowiedzi. W sprawie, o której piszę, nie mnie też innego do wypowiedzi nie upoważnia.

Chciałbym jednak przedstawić poglądy wielu naszych kolegów i współtowarzyszy partyjnych, że niezależnie od swoistej antypropagandy uprawianej nieraz w naszej partii ze szczególnym talentem, ci z członków kierownictwa partyjnego, którzy w Sierpniu i podczas wielu miesięcy po Sierpniu opowiadali się za porozumieniem społecznym, przeciw konfrontacji i rozwiązaniom siłowym, powinni mieć otwartą drogę startu do władz naszej partii. Nie chodzi tu tylko o sprawy personalne. Partia, która odrzuciłaby tych ludzi, nie potrafiłaby wiary-

godnie świadczyć przed społeczeństwem, za jakim opowiada się wyborem. W sytuacji, gdy nie brak nam kandydatów do uszczęśliwiania nas siłą, gdy nie brak znanych a złowrogich deklaracji o gotowości do konfrontacji, przekreślenie kandydatury kogokolwiek z ludzi, którym zawdzięczamy porozumienia sierpniowe i późniejsze, miałoby sens jednoznaczny.

Dlatego chciałbym prosić Was, Towarzysze, byście przeszli do porządku dziennego nad wszelkimi przejawami antypropagandy w kampanii wyborczej, nad jej demobilizującymi czasem niezręcznościami i błędami, nad domniemanymi powiązaniem personalnymi, słowem — byście zechcieli w swoich decyzjach przełożyć nad to interes kraju jako całości.

Jest późna godzina nocna, a wróciliśmy właśnie wraz z kolegami z Pragi, z bardzo wyczerpujących rozmów. Wybaczenie, że o tej porze nie potrafię bardziej precyzyjnie wyłuszczyć celu mojego listu. Streszczę się więc krótko na koniec: jeśli ludzie Sierpnia w naszej partii przepadną w wyborach — wszystko jedno z jakich względów — zacznie się zupełnie inna historia, niż ta, której początek dał Sierpień.

STEFAN BRATKOWSKI

Po latach nie da się do nich dopisać zdania, przesunąć środka ciężkości ani włożyć komuś do ust intencji.

Z relacjami, wspomnieniami i analizami bywa gorzej. Pamięć wybiera, porządkuje, czasem zaczyna konflikt w innym miejscu niż ten, kto stał obok. Tak jest ze sprawą Barcikowski — K-2. Mamy relację Jarosława Piwara, pisaną w samym środku wydarzeń, oraz późniejszą rekonstrukcję Michała Paziewskiego. Nie są one ze sobą w pełni zgodne.

Bratkowski w swoim liście nie wymienia Barcikowskiego. Pisze o członkach kierownictwa partii, którzy w Sierpniu i w miesiącach po Sierpniu opowiadali się za porozumieniem społecznym, przeciw konfrontacji i rozwiązaniom siłowym. Kończy zdaniem: „jeśli ludzie Sierpnia w naszej partii przepadną w wyborach — wszystko jedno z jakich względów — zacznie się zupełnie inna historia, niż ta, której początek dał Sierpień”.

Barcikowski był dla niego jednym z takich ludzi. Nie chodziło wyłącznie o jego osobistą karierę, lecz o polityczny sens wyboru, przed którym stanęli delegaci szczecińskiej konferencji.

Pisałem już o mojej pracy reporterskiej w bezpośrednim otoczeniu wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego, o rozmowach z nim, o wspólnych — ośmielę się tak to nazwać — konsultacjach. Wicepremier wielokrotnie prosił mnie o

opinie, relacje z miasta, o wiadomości i echa dochodzące z obrad w Gdańsku. Spotykaliśmy się tuż przed Sierpniem 1980 roku, w czasie wszystkich obrad Komitetu Strajkowego w Stoczni oraz — jak sądzę — dwa razy po podpisaniu porozumień. Dotychczas nie opracowałem wszystkich tych materiałów.

Dzisiaj widzę, jak bardzo lokalny charakter miały szczecińskie perypetie Kazimierza Barcikowskiego. Jednym z takich epizodów była decyzja organizacji partyjnej Wydziału K-2, o której niżej.

Przygotowując zapis rozmowy ze Stefanem Bratkowskim, ówczesnym prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, utrwalonej na archiwalnej taśmie pozostającej, jak sądzę, wyłącznie w moich zbiorach, utwierdziłem się w przekonaniu, że odległość geograficzna i polityczna Szczecina od Warszawy była — i jest — kosmiczna.

Późna wiosna 1981 roku...

„To tylko dzisiaj się to do końca ujawniło, zwłaszcza w sytuacji, kiedy teraz przyszedł akurat ten premier, który chciał coś zrobić, i na razie okazało się, że ten aparat nie działa”.

Premierem, o którym Stefan Bratkowski mówi w tej rozmowie, był Wojciech Jaruzelski. Objął urząd 11 lutego 1981 roku. Bratkowski patrzy na niego jeszcze jako na świeżo mianowanego szefa rządu, który objął państwo pogrążone w bezwładzie. Dopiero grudzień, stan wojenny, internowania i wojsko na ulicach miały nadać tym słowom ich ostateczny sens.

Taśma reporterska jest jak stempel odcisnięty w czasie. Zachowuje słowa w kolejności, w której padły, ton rozmowy, zawahania, naciski i akcenty. Po latach nie da się w niej dopisać odpowiedzi, włożyć komuś do ust intencji ani przesunąć środka ciężkości wydarzenia. Z relacjami, wspomnieniami i analizami bywa gorzej. Pamięć wybiera, porządkuje, odtwarza własny udział w zdarzeniu, czasem zaczyna konflikt w innym miejscu niż ten, kto stał obok.

Bratkowski przyjeżdża do Szczecina 5 czerwca 1981 roku, kilka dni po tym, jak XIX Wojewódzka Konferencja PZPR wybrała Kazimierza Barcikowskiego delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Spór wokół Wydziału K-2 nadal jednak trwa. Taśma nie rekonstruuje jego całego przebiegu. Pokazuje coś innego: jak z perspektywy prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich lokalna sprawa Barcikowskiego urasta do pytania o politykę porozumienia, o jej dalszy los i o znak, jaki Szczecin wysyła w kraj.

Przebieg konfliktu Barcikowski — K-2 znamy z relacji, które nie są ze sobą całkowicie zgodne. Jarosław Piwar opisał go w „Jedności” pod tytułem: „Barcikowski stoczniowcem nie będzie”. Według jego relacji 22 maja, po tygodniowych przygotowaniach prowadzonych przez aktywistów Komitetu Zakładowego PZPR, na zebraniu Oddziałowej Organizacji Partyjnej Wydziału K-2 przy trzech głosach wstrzymujących się zatwierdzono uchwałę o przyjęciu Barcikowskiego do organizacji. W następnych dniach napięcie narastało. Piwar pisał, że 28 maja, po zapoznaniu się z opiniami z wydziałów, widział, iż „z kilkunastotysięcznej załogi stoczni nazwiska będące za Barcikowskim można by policzyć niemal na palcach”. Przywołał też przykład „Wulkanu”: początkowo za kandydaturę Barcikowskiego opowiedziało się tam 67 członków PZPR, przy jednym głosie przeciwnym; na późniejszym zebraniu ogólnym za Barcikowskim nie opowiedział się ani jeden członek partii.

Inaczej akcenty rozkłada Michał Paziewski. Pisze o zebraniu zwołanym bez zapowiedzi, na którym tylko niewielka część uczestników należała do właściwej organizacji K-2, podczas gdy większość stanowili działacze innych instancji partyjnych. Barcikowski miał zostać najpierw dokooptowany do organizacji, a później wybrany delegatem. Paziewski opisuje następnie protest załogi, zebranie ogólne, ankietę przeprowadzoną na wydziałach i cofnięcie rekomendacji; mandat zjazdu Barcikowski otrzymał według tej relacji dopiero od Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej.

Obie relacje prowadzą do jednego wniosku: pod nazwą K-2 nie kryje się jeden głos ani jedno stanowisko. Jest formalne zebranie organizacji partyjnej, Komitet Zakładowy PZPR, ludzie z innych instancji, partyjni członkowie „Solidarności”, załoga Stoczni oraz konferencja wojewódzka. Piwar pokazuje konflikt takim, jakim widział go dzień po dniu w Stoczni; Paziewski odsłania mechanizm organizacyjny, który pozwolił Barcikowskiemu uzyskać „oddolne zacementowanie”. Rozbieżność tych relacji nie jest wadą materiału. Jest częścią historii tego wydarzenia.

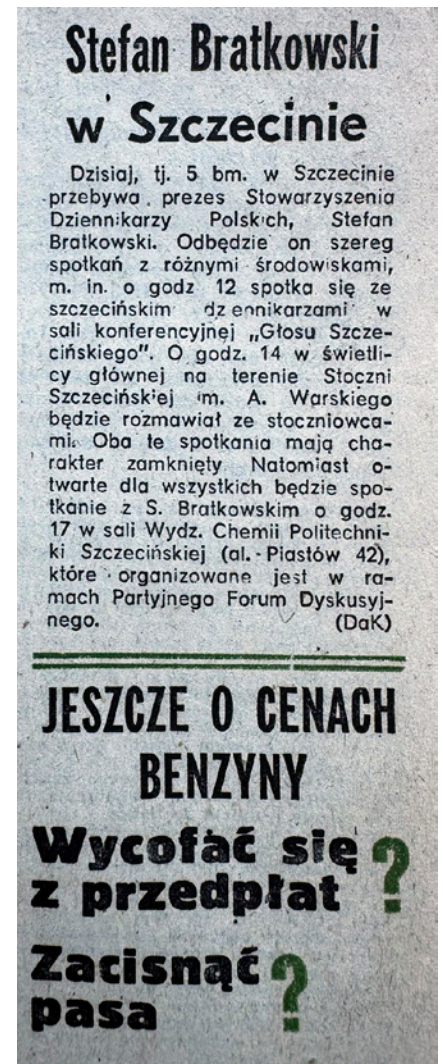
W czasie rewolucji szafot pracuje dzień i noc. Człowiek, który wraz z innymi trzymał w rękach cugle tej rewolucji, nie otrzymuje z tego tytułu żadnych punktów dodatkowych. Barcikowski nie był tu jedynym powołującym, lecz w sali konferencyjnej Stoczni, choć pozostawał partnerem Komitetu Strajkowego, umiał nadawać negocjacji ton i tempo. Byłem tego świadkiem. Niejeden raz wydawało się, że ktoś za chwilę krzyknie: „nie!”. Rozmowa jednak toczyła się dalej, jakby działał w niej mechanizm starszy niż spór o poszczególne punkty porozumienia.

Dlaczego? Tamten Polak przez dwa, może trzy pokolenia znał tylko jedną władzę — partię. Każdy jej funkcjonariusz wzbudzał, jeśli nie szacunek, to respekt. Była to ważna cecha społeczeństwa żyjącego w realiach socjalizmu z tak zwaną ludzką twarzą. O wyniku nie decydowały sympatia, szacunek ani uznanie dotychczasowych zasług Barcikowskiego. Delegaci rozważali, na jaką nową wizję Polski się godzą i czy Barcikowski jest dla niej właściwym sternikiem. Przegrana w Szczecinie była jednak tylko etapem w karierze polityka.

Na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR w lipcu 1981 roku wszedł do Komitetu Centralnego, zdobywając 1269 głosów. Kandydował również na I sekretarza KC; Stanisław Kania otrzymał 1311 głosów, Barcikowski 568. Pozostał w Biurze Politycznym.

Nie ma jednak podstaw, by pisać, że list Bratkowskiego miał wpływ na decyzje stoczniowych członków partii czy — później — przesądził o wyniku głosowania w Komitecie Centralnym. Brakuje dokumentu albo relacji, które dowodziłyby takiego związku. List nie zmienił stanowiska K-2. Przypominał jednak, że poza Szczecinem decyzja w sprawie Barcikowskiego może zostać odebrana jako odwrót od sierpniowej polityki porozumienia.

Rozmowa została nagrana 5 czerwca 1981 roku, kilka dni po tym, gdy XIX Wojewódzka Konferencja PZPR w Szczecinie wybrała Kazimierza Barcikowskiego delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. W Stoczni trwał jeszcze spór o sposób, w jaki wicepremier



...przyjacie stanąc na K-2 oko w oko z robotnikami.
Dla „Solidarności” sprawa była nie-
bezpieczna i delikatna. Wszelkie wypowiedza-
nie się nie pomyśli PZPR mogłoby zostać
znane za ingerencję w wewnętrzne spra-
wy partii, z drugiej zaś strony zwróciła
się o pomoc przewodnia siła narodu i nie
typada odmówić. Głupia sprawa...
Jedno było pewne: Kazimierz Barcikow-
ski pełnił oprócz funkcji partyjnych także

Przeprowadziliśmy sondaż na naszym
wydziale i zdecydowana część załogi
opowiedziała się przeciwko reprezentowa-
niu stoczni przez Kazimierza Barcikow-
skiego. Stawiam wniosek, aby wydział
K-2 podjął dzisiaj uchwałę, żeby wszyst-
kie wydziały stoczni zrobiły na ten te-
mat zebrania. Musi tu być reprezentowa-
ne stanowisko wszystkich stoczniowców,
gdyż sprawa Barcikowskiego jest sprawą
nas wszystkich.

Barcikowski stoczniowcem nie będzie

...szereg funkcji rządowych, od mini-
stra po wicepremiera, to zaś upoważnia
całe społeczeństwo do wyrażania włas-
nych ocen i opinii. Dlatego też każdy
stoczniowiec miał prawo i wręcz obowią-
zek, aby w kwestii Barcikowskiego zająć
szczerą obywatelską postawę i wwrzici-

Sekretarz Pyda próbuje replikować:
— Czy kolega jest członkiem partii?
Tadeusz Lichota:
— Mógłbym być członkiem partii gdy-
by naprawdę była robotniczą.
Zenon Pyda pojednawczo:
— Na tematy polityczne można bar-

został przyjęty do organizacji partyjnej Wydziału K-2 i uzyskał drogę
do dalszych wyborów.

Stawką było to, co z lokalnego konfliktu zobaczy reszta kraju, co
odczyta świat i jaką wiadomość dostaną ludzie, którzy jeszcze kilka
miesiące wcześniej wierzyli, że sierpniowe porozumienia mogą stać
się początkiem innej polityki.

Rozmowa ze Stefanem Bratkowskim

Marek Koszur: Stefan Bratkowski, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Gości Pan w Szczecinie. Już po dwóch spotkaniach:
najpierw z dziennikarzami, teraz ze stoczniowcami oraz reprezentan-
tami organizacji partyjnych dużych zakładów pracy w naszym mieście.
Powód, dla którego spotkał się Pan z tymi ludźmi, a za chwilę jedzie
Pan na następne spotkanie, to głównie sprawa listu, który wystoso-
wał Pan w zeszłym tygodniu do członków partii uczestniczących w
XIX Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR. Mówił Pan w tym
liście... Proponuję, byśmy przypomnieli główną myśl.

Stefan Bratkowski: Podstawowa to była sprawa wyboru: czy
ludzie typu Barcikowskiego, niezależnie od czyichkolwiek osobistych
sympatii lub antypatii wobec niego, niezależnie od takiej czy innej oce-
ny jego działań lub zachowań w minionych miesiącach — czy, innymi
słowy, ludzie utożsamiani przez światową opinię, a także opinię reszty
Polski poza Szczecinem, z porozumieniami szczecińskimi, sierpniowy-
mi, z polityką porozumienia społecznego w Polsce — mogą przepaść
w wyborach partyjnych.

Marek Koszur: Przypomnijmy w tym miejscu, że Kazimierz Barci-
kowski został przyjęty na członka organizacji Wydziału K-2 w Stoczni
Szczecińskiej i rekomendowany na konferencję wojewódzką. Jego
kandydaturę zakwestionowała organizacja partyjna Stoczni.

Stefan Bratkowski: Ja w pełni rozumiałem założenia, jakimi kie-
rowała się ta organizacja partyjna, ponieważ chciała ona przeforsować
zasadę, moim zdaniem zresztą słuszną, że każdy z członków partii
kandydujących na zjazd powinien przechodzić pełną drogę wyborów
od podstawowej organizacji partyjnej. No ale stało się inaczej.

Chodziło więc między innymi o niestwarzanie precedensów w
ordynacji, którą sami sobie wybraliśmy i przygotowaliśmy. Sądzę jed-
nak, że w sytuacji, w której alternatywa wygląda tylko tak: albo wariant
porozumienia społecznego i polityka porozumienia społecznego, albo
wariant konfrontacji i wariant zerwania z własnym narodem — a wia-

domo, że ten pierwszy wariant utożsamia się
i w kraju, i za granicą z tymi paroma podsta-
wowymi nazwiskami członków obecnego kie-
rownictwa partii — otóż w tych warunkach
rzeczą oczywistą jest, że jeżeli którykolwiek z
nich przepadłby w wyborach, oznaczałoby to
przekreślenie, wyrzeczenie się tej polityki, nie-
zależnie od tego, czy ktoś tak czy inaczej sam
osobiście interpretowałby swoje decyzje.

Dlatego uważałem, że powinienem w imie-
niu tych wszystkich kolegów, członków partii,
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i swoim
własnym przynajmniej zasygnalizować prob-
lem. Oczywiście wpływać na decyzje nie było
w mojej mocy, nie mam ani do tego żadnych
upoważnień, ani takiego wpływu. Chodziło
mi natomiast o to, żeby przekazać po prostu
tę wiedzę, którą my na ten temat mamy, i te
poglądy w tej kwestii możliwie szerokiej grupie
uczestników wojewódzkiej konferencji partyjnej.

Marek Koszur: Z Pańskich odczuć: czy
tego typu argumentacja trafia, znajduje posłuch
i jest argumentem?

Stefan Bratkowski: Spotkanie w Stoczni
odpowiadało tej atmosferze, która w ogóle panuje w naszych organiza-
cjach partyjnych. To znaczy jest atmosfera ogromnego zniecierpliwienia
opieszałością zmian, rozżalenia na brak autentycznych i pełnych zmian
w prowadzonej polityce, no i skłonności do obciążania wszystkich
ryczałem odpowiedzialnością za stan, jaki istnieje.

Myślę, że jest to zjawisko naturalne. Ja staram się wytłumaczyć, że
dobrze byłoby sobie także uświadamiać, iż po Grudniu przyniatająca
większość społeczeństwa zaakceptowała politykę bogacenia się bez
zważania na warunki. Nie jest prawdą, że to się zaczęło dopiero po
1974, 1975 roku. To hasło „bogaćcie się” zaakceptowali wszyscy i
wszyscy w sensie społecznym czy politycznym poszli spać. Nie było
atmosfery zainteresowania tym, jak to państwo będzie funkcjonowało,
jak ta gospodarka będzie szła. Wszyscy jakoś zdecydowali się na to,
żeby po prostu zarabiać jak najwięcej pieniędzy, dbać o swój dobrobyt.

Ten program, te koncepcje Gierka zostały zaakceptowane spo-
łecznie. Nie ma co sobie tutaj stwarzać fikcji, mówiąc, że tylko jedna
strona, czyli władza, odpowiada. Tutaj sytuacja była taka, jaka była.

Poza wszystkim, tak jak mówiłem dzisiaj, to nie jest tylko kwestia
osobistej odpowiedzialności, bo poza tymi, którzy kradli czy popeł-
niali malwersacje, była to kwestia ludzi, którzy wyrosli z negatywnej
praktycznie selekcji kadrowej, często, gęsto funkcjonowali w systemie,
który się rozleciał. Ta gospodarka od paru lat nie szła. To państwo od
paru lat praktycznie nie funkcjonowało. To nie dopiero dzisiaj mamy do
czynienia z kryzysem aparatu władzy. To tylko dzisiaj się to do końca
ujawniło, zwłaszcza w sytuacji, kiedy teraz przyszedł akurat ten premier,
który chciał coś zrobić, i na razie okazało się, że ten aparat nie działa.

Myślę więc, że są to rzeczy, które narastały, i jest to kwestia zmiany
mechanizmów. Mniej w Polsce ukradziono, niż zmarnowano. To, co
ukradziono, jest ułamkiem tego, co zostało po prostu zmarnowane.
A jeśli tak, to trzeba przede wszystkim zbadać, jak funkcjonowały te
mechanizmy, które prowadziły do marnotrawstwa, i to trzeba przede
wszystkim naprawić — niezależnie od przyzwoitego rozliczenia tych
wszystkich, którzy powinni odpowiadać za malwersacje czy kradzieże.

Jest tylko problem, żeby rozżalenie nie zastępowało poszukiwania
konstruktywnych rozwiązań, bo rozżalenie się na górę w sytuacji, kiedy
samemu nic się nie robi — jeżeli oczywiście nic się nie robi na swoim
podwórku, żeby to wszystko zmieniać i poprawiać — naturalnie nie
jest żadnym rozwiązaniem.

Jednym z istotnych elementów kryzysu jest dzisiaj, tak jak tam

mówiłem, w moim odczuciu w każdym razie, brak programów i brak praktycznego działania na „tak”. Nie tylko działania — współdziałania, ponieważ po prostu potrzeba współdziałania ludzi najróżniejszych, różniących się od siebie, nie tylko wewnątrz jednego środowiska, lecz w ogóle wszystkich tych, którzy mają coś do powiedzenia, do zrobienia razem. Brak jakichś uzgodnionych koncepcji, jak rozwiązywać poszczególne problemy, no i brak robienia tego. Poczynając od samorządów lokalnych, poprzez samorządy pracownicze, kończąc na programach związkowych, regionalnych, miejskich itd., itd.

Gigantyczna ilość rzeczy do zrobienia, a gdzie człowiek sięgnie, okazuje się, że jakiegos programu na „tak” spotkać nie można.

Nie przepadł, ale nie wygrał

Tak sierpniowa rewolucja obeszła się z jednym z najważniejszych ludzi stojących po drugiej stronie stołu. Nie uczyniła go bohaterem ani członkiem własnej rodziny, ale nie mogła też udawać, że podpis pod Porozumieniem Szczecińskim nic nie znaczył.

W tej historii jest pewna ironia. Barcikowski był potrzebny jako sygnatariusz porozumienia, ale nie był już potrzebny jako człowiek stoczni. Pozostał politykiem państwa, a nie człowiekiem zakładu. I może właśnie na tym polega różnica między jego sierpniowym miejscem w historii a późniejszym losem.

Może znajdę taśmę z moją rozmową z Barcikowskim po odrzuceniu jego kandydatury. Rozmowa była długa. Trzy razy przeszliśmy cały korytarz w gmachu KW PZPR, w czasie przerwy w obradach. To było dosyć osobliwe zjawisko. Uczestnicy plenum, w kłębach dymu, obserwowali nas, spekulując: co wicepremier mówi reporterowi? Skarzy się? Grozi? Próbuje ratować swoją kandydaturę?

Jest coś szczególnego w mentalności ludzi. Kiedy w sali konferencyjnej budynku dyrekcji stoczni trwały nocne uzgodnienia z Komitetem Strajkowym, atmosfera balansowała na krawędzi zgody i protestu. Wygrywała zgoda. Po podpisaniu porozumień nowa siła wstąpiła w oba obozy. Narastało napięcie, prężenie mięśni.

Barcikowski mógł być, moim zdaniem, postrzegany jako agent obu stron, człowiek nie deklarujący jednoznacznego opowiedzenia się po stronie partyjnej. On chciał kontynuować wariant: partia na czele narodu, przy czym naród traktowany już nie jako wróg, lecz konieczny partner. Naród z kolei chciał zająć miejsce partii, odbierając jej dotychczasową pozycję.

Takie są chyba obiektywne reguły walki o władzę. Regulamin tej walki wyklucza skrupuły.

Rakowski tego nie zauważył

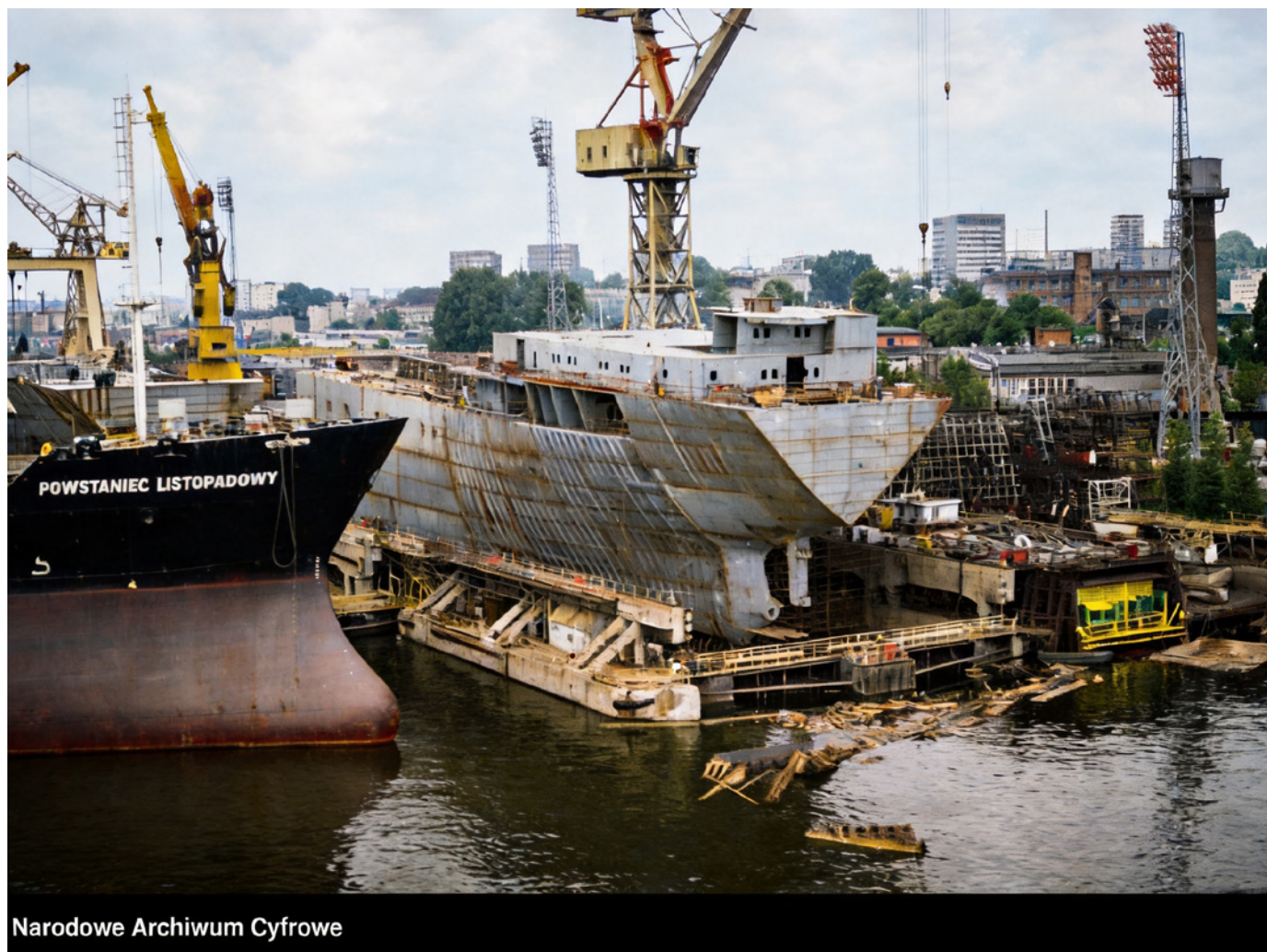
Rakowski w swoich Dziennikach politycznych 1979–1981 nie dostrzega ani listu Bratkowskiego, ani szczecińskiej awantury wokół Barcikowskiego. Chętnie przytacza natomiast inne wydarzenia.

Na stronie 390 zapisuje słowa Grabskiego, który działalność Bratkowskiego — autora uwag o twardogłowych w kierownictwie partii, „chcących wciągnąć całe kierownictwo w starcie ze społeczeństwem” — określał jako „dywersyjną, antypartyjną”.

Podobnie mówił Stefan Olszowski: „Towarzysz Bratkowski jako członek Komisji Zjazdowej wszedł na drogę dzielenia partii i jej kierownictwa, na drogę działalności frakcyjnej”.

Zob. Mieczysław F. Rakowski, Dzienniki polityczne 1979–1981, s. 390.





Narodowe Archiwum Cyfrowe

Odkładam książkę... Rzucam okiem na ostatnie nagłówki dzisiaj-szych newsów. Czy dziś w polskim życiu politycznym jest inaczej? Ale to inna kwestia.

Dym z papierosa: gdyby Barcikowski został premierem

To nie jest politologiczny scenariusz. Nie ma sensu urządzać po czterdziestu pięciu latach gabinetowej gry, w której każdy zna już finał. Trzeba raczej wyobrazić sobie stół w zadymionym pokoju, szklanki po herbacie, papierosy gaszone w popielniczkach i ludzi mówiących: dobrze, Jaruzelski nie. Kania nie. To kto?

W czerwcu 1981 roku takie myślenie wcale nie było czystą fantazją. Nazwisko Barcikowskiego pojawiało się w rozważaniach o możliwym układzie: Olszowski jako pierwszy sekretarz, Barcikowski albo Rakowski jako premier. Nie był więc tylko szczecińskim wspomnieniem z sierpnia. Był realnym kandydatem z politycznego środka, człowiekiem aparatu, który znał wieś, gospodarkę, partyjną administrację, ale także doświadczenie rozmowy z robotnikami.

Czy Barcikowski jako premier mógłby zmienić bieg roku 1981?

Jako premier inaczej prowadziłby rozmowę. Szczecin nauczył go politycznego sensu kompromisu; łatwiej niż Jaruzelski rozumiałby, że utrzymanie państwa nie musi oznaczać upokorzenia „Solidarności”. Zapewne próbowałby zyskać czas, powołując kolejne komisje i szukając formuł, które pozwoliłyby partii nie przegrać całkowicie, a „Solidarności” nie poczuć się zdradzoną. Kryzys miałby może inny język i inny rytm.

Taki obraz byłby jednak niepełny. Barcikowski nie był politykiem wolnościowym ani człowiekiem, który chciał oddać władzę społeczeństwu. Rozumiał, że system w starej postaci nie może przetrwać, ale

pozostawał człowiekiem tego systemu. Reforma mogła prowadzić ku państwu bardziej ludzkiemu albo służyć temu, by państwo odzyskało zdolność manewrowania. Barcikowski należał raczej do tej drugiej kategorii.

Można sobie wyobrazić, że stan wojenny nie przyszedłby wtedy w mundurze, lecz w bardziej cywilnym języku komisji, rozmów i kolejnych propozycji kompromisu. Trudno jednak przypisać Barcikowskiemu zdolność otwarcia drogi do pluralistycznej demokracji. Granice wyznaczał cały układ sił, do którego należał także charakter tego człowieka: kryzys gospodarczy, rozpadająca się PZPR, masowa „Solidarność”, nacisk Moskwy, strach przed interwencją i przekonanie wielu ludzi aparatu, że utrata monopolu oznacza utratę państwa.

Można więc powiedzieć ostrożnie: zmieniłby może styl, tempo i język kryzysu. Jego finał pozostaje niewiadomą.

Co zostaje z tej rozmowy dzisiaj

Najprościej byłoby powiedzieć: wtedy ludzie rozmawiali poważnie, a dziś nie rozmawia już nikt. To byłoby efektowne i... nieprawdziwe.

Dzisiaj mówi się dużo: w kanałach informacyjnych, debatach, komentarzach, analizach i publicznych sporach. Problem nie polega na milczeniu. Bardzo często nie ma jednak rozmowy o państwie jako wspólnym przedmiocie odpowiedzialności. Jest rozmowa o własnym obozie, własnym przekazie i przewadze nad przeciwnikiem.

Bratkowski w tym wywiadzie nie rozstrzyga, kto ma rację moralną. Rozważa, co stanie się, gdy określona decyzja organizacji partyjnej Wydziału K-2 zostanie odczytana przez cały kraj. Nie poprzestaje na wskazaniu winy. Interesują go mechanizmy. Nie mówi: ukradli, więc wystarczy ich usunąć. Mówi: mniej ukradziono, niż zmarnowano; trze-

ba więc zobaczyć, jak działał mechanizm marnotrawstwa.

To jest metoda, która dzisiaj chyba zniknęła.

Dzisiaj łatwo wskazać winnych. Trudniej zapytać, jaki mechanizm ich produkuje. Pojawiają się nieuczciwi, nieudolni i zdrajcy, ale pozostaje pytanie, jak urządzić państwo tak, aby nie opłacało się być nieuczciwym, aby nie dało się tak łatwo wymieniać fachowców na ludzi partyjnych, aby spółka Skarbu Państwa nie stawała się nagrodą za lojalność, a urząd nie był przedłużeniem sztabu wyborczego.

Polska gospodarka jest dziś zakotwiczona w europejskim rynku. Państwo nie może już, jak w PRL, jednym zarządzeniem zmienić całego życia gospodarczego. Nie ustala już ogólnie każdej ceny, nie rozdziela wszystkich materiałów ani nie narzuca każdemu zakładowi planu produkcyjnego. Ale z tego nie wynika, że polityka straciła znaczenie.

Polityka nadal decyduje o energetyce, kolejach, portach, podatkach, prawie pracy, zamówieniach publicznych, inwestycjach, bezpieczeństwie, mieszkalnictwie, ochronie zdrowia i o tym, kto zarządza dużymi spółkami. W kraju, w którym państwo zachowuje silną obecność w gospodarce, pytanie o jakość nadzoru nad spółkami Skarbu Państwa nie jest pytaniem pobocznym. Jest pytaniem o to, czy państwo ma jeszcze własne narzędzia rozwoju, czy tylko własne instrumenty partyjnej mobilizacji.

Twierdzenie, że każda spółka państwowa jest automatycznie kasą wyborczą, byłoby równie mechaniczne jak dawny język o „wrogach socjalizmu”. Wystarczy powiedzieć coś dokładniejszego: każda spółka, w której kompetencja przegrywa z partyjnym zaufaniem, może stać się miejscem produkowania zależności. A zależność jest polityczną walutą. Tworzy krąg ludzi, którzy nie są związani z państwem przez służbę, lecz z partią przez interes.

Bratkowski pozostaje współczesny nie przez podobieństwo PRL do dzisiejszej Polski ani dzisiejszych partii do PZPR. Takie zestawienie byłoby głupie i krzywdzące dla rzeczywistości III Rzeczypospolitej. Chociaż...

Jego współczesność polega na odruchu, który każe pytać o ciąg dalszy każdej politycznej decyzji. Po usunięciu człowieka coś zostaje, ktoś musi prowadzić państwo, a zwycięstwo ma cenę, płaconą nie tylko przez pokonanych, lecz przez kraj.

Bratkowski powiedział wtedy, że brakuje „programu na tak”. Zdanie można dziś powtórzyć, z jednym zastrzeżeniem: program na „tak” powinien być czymś więcej niż zbiorem obietnic, które mają dać partii następną kadencję. Powinien oznaczać umowę, że po zwycięstwie instytucji nie rozbierze się na części ani urzędów nie zamieni w partyjne łupy. Dziś wymienia się kadry do zera, bo to byli oni. Państwo nie może być magazynem etatów.

Odpowiedź wyobrażona

Poniższy fragment nie jest cytatem Stefana Bratkowskiego ani próbą udawania, że wiadomo, co powiedziałby człowiek zmarły wiele lat po tamtej rozmowie. To próba odpowiedzi napisana jego metodą: przez odróżnienie gniewu od programu, odpowiedzialności od odwetu, państwa od partyjnego zaplecza.

Marek Koszur: Z Pańskich odczuć: czy tego typu argumentacja trafia, znajduje posłuch i jest argumentem?

Stefan Bratkowski — odpowiedź wyobrażona:

Argument trafia wtedy, kiedy jest czymś więcej niż hasłem wymierzonym w kogoś: kiedy staje się rachunkiem za coś. Dzisiaj wszyscy są przekonani, że mają argumenty. Jedni kierują w stronę tamtych, drudzy odpowiadają tym samym. Rzadko pada pytanie: dobrze, a co będzie z państwem, kiedy wygracie?

Po latach spędzonych w opozycji władza łatwo może zostać uznana za nagrodę albo odszkodowanie; wraz z nią przychodzi pokusa obsadzenia wszystkich stanowisk własnymi ludźmi. Trzeba zdobyć się na uczciwość i powiedzieć: instytucje mają po waszej stronie działać lepiej niż przed wami, a nie wyłącznie dla was.

Oburzać się można na nominacje, niekompetencje, wydatki, układy i wzajemne przysługi. Powodów nie brakuje. Samo oburzenie programu jednak nie tworzy. Ten zaczyna się wtedy, gdy ktoś potrafi powiedzieć, jak oddzielić państwo od partii, jak rozliczać swoich i dlaczego fachowiec spoza własnego obozu może wykonywać ważną dla kraju pracę.

Partie zawsze chciały władzy. Problem zaczyna się wtedy, gdy władza staje się jedynym celem, a kraj tylko terenem, po którym prze-suwa się pionki.

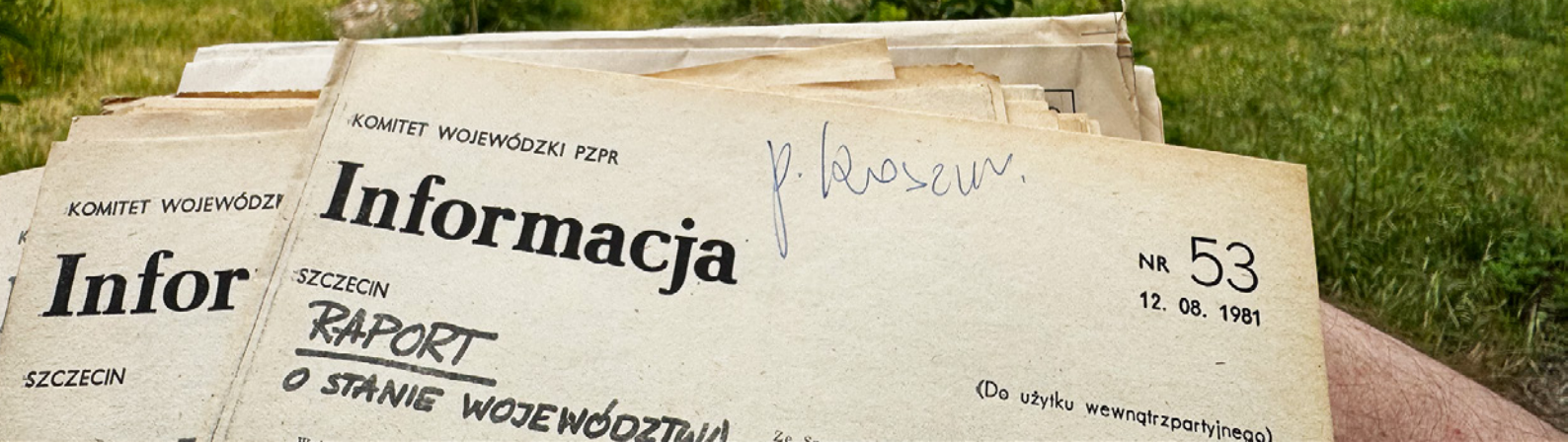
Wtedy nie ma już polityki. Jest administracja emocjami.

A państwo, które stale słyszy od wszystkich, że jest niczyje, zaczyna rzeczywistość niczyje być.

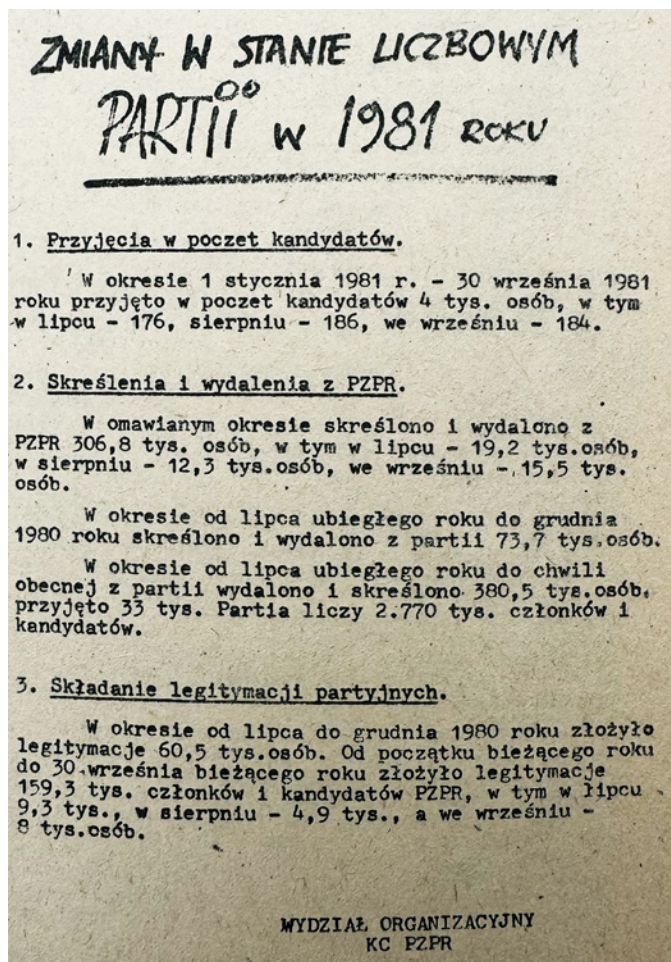
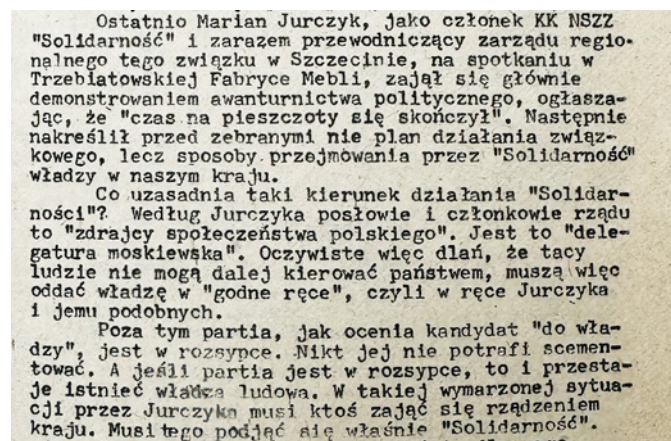
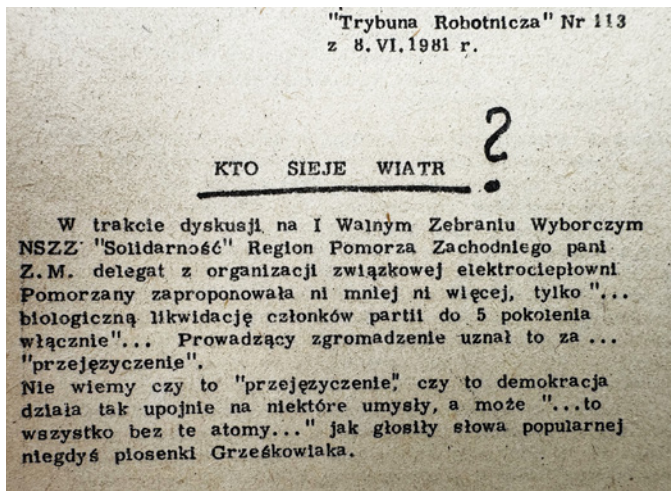


Narodowe Archiwum Cyfrowe

1. z prawej Stanisław Gućwa, 2. z prawej Kazimierz Barcikowski



O gruszkach na wierzbie -prasówka 1980-1981



CYTATY - TAKIE SOBIE

z cyklu: *Im wyżej, tym niżej*

1. Lech Wałęsa o swoich zarobkach: "Biorę 7 tys. pensji, 2 tys. rodzinnego. To wszystko".
"Sztandar Ludu" 15.VI.81r. Nr 118
2. Jak donosi 23 numer "Jedności" w naszym regionie przyjęto warlant 18 tys. dla przewodniczącego, 16 tys. dla zastępców i 14 tys. miesięcznie dla członków prezydium. /przy średnich zarobkach w regionie ok. 5,5 tys. zł.
3. Zamiast komentarza cytaty: "Utrzymywanie przywilejów dla przedstawicieli władzy jest społecznie niebezpieczne, a w obecnej sytuacji głęboko niemoralne. Ludzie sprawujący władzę, oddzieleni przywilejami od realii życia normalnych obywateli, nie są w stanie zrozumieć jego problemów"
"Solidarność" Nr 3 z 17.IV.81r. /"Kierunki działania związku w obecnej sytuacji kraju"/.

Pisane z kraju

PIEŚŃ WAJDALOTY

Nie, tego jeszcze nie było!
Sam Pan Prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Andrzeja Wajda - w roli dziewczynki w tak zwanej bieli, dzierzący z miną archaniołka szarfę od poświęcanego właśnie sztandaru "Solidarności" huty Warszawa - toż to nawet w najbardziej komicznych snach, najbardziej komicznemu trefniślowi świata jeszcze przed rokiem by się nie wyśniło! Po prostu ostupiałem przy telewizorze. Przecierałem oczy sądząc, że podlegam halucynacji. Jednak nie! To był rzeczywiście Andrzej Wajda we własnej, szlachetnej osobie, co do tego nie mogło być wątpliwości. Widziałem go wprawdzie w rozmaitych wcieleniach - jest on przecież mistrzem metamorfozy - ale, mimo wszystko, tego się nie spodziewałem.

Ostupienie moje doszło do szczytu, kiedy na ekranie ukazało się natchnione oblicze Innego ryercza odnowy - od lat znanego w kraju i zagranicą superkatolika - Gućia Holoubka. Gućio łamiącym się jak uschnięta szypułka głosem odczytał stosowny na tę okoliczność, głęboko religijny tekst, co miało skruszyć prawdopodobnie najbardziej zatwardziałe w nieprawości serca. Z moim na czele. Jeśli jednak moje grzeszne serce skruszeniu nie uległo, to jedynie z przyczyny owego, wspomnianego wyżej, ostupienia. W każdym razie nie jest to w żadnym wypadku wina Holoubka, który w tej nowej kreacji przerósł samego siebie i wznosił się na takie szczyty aktorskiej ekwilibrystyki, jakich chyba już nigdy więcej nie osiągnie. Jestem święcie przekonany, że była to rola jego życia.

DANE SOCJOLOGICZNE DOTYCZĄCE KKP NSZZ "SOLIDARNOSC"

KKP liczy łącznie 55 osób z tego:

1. Członków PZPR	12
2. Członków innych stronnictw	1
3. Bezpartyjnych	42
4. Działacze KSS-KOR	
w tym:	
- działali przed sierpniem 1980	13
- nawiązali współpracę z racji działalności w NSZZ "Solidarność"	5
5. Wykształcenie	
- podstawowe	1
- zasadnicze zawodowe	13
- średnie	19
- wyższe	22
6. Wiek	
- od 20 - 25 lat	1
- od 26 - 30 lat	12
- od 31 - 40 lat	26
- powyżej 40 lat	16
7. Karanych za:	
- przestępstwa	8
- wykroczenia	3

Rozmowa z Janem Rullewskim - przewodniczącym NSZZ "Solidarność" MKZ Bydgoszcz

".../

Z.H.: Co robiłeś po wyjściu z więzienia?
/tj. w 1969 r./

J.R.: Zdałem na studia zaoczne w Bydgoszczy, lecz nie zostałem przyjęty, gdyż - jak mi oświadczone - muszę przejść tzw. aklimatyzację, podczas której mogę tylko pracować. Nauka była zabroniona, ale w końcu studia skończyłem z tytułem inżyniera mechanika.

Z.H.: Przejdźmy do sierpnia tego roku. Jaka była twoja rola w strajku?

J.R.: Jak wiesz byłem przewodniczącym Rady Zakładowej w OBR "Romet". Na posiedzeniu w dniu 21 sierpnia napisaliśmy list otwarty do CRZZ. Wyszliśmy z własnymi postulatami zbliżone do gdańskich, przedstawiliśmy swój punkt widzenia, jak wyjść z impasu.../ W czasie strajku byłem przewodniczącym Komitetu Strajkowego w "Romecie"

Rozmawiał Zdzisław Hetzlg

Zródło: "Wolne Związki" Bydgoszcz 20.12.1980 r.

Od red. "Wtórnik": Takie były przed sierpniem związki zawodowe, jacy byli wtedy ich działacze. Takie będą związki zawodowe w warunkach pokoju, jacy będą w tych warunkach ich działacze.

"Wtórnik" pismo Branżowego Ruchu Związkowego nr 1.

Problemy KULTURY

Czy na Zjeździe powinien znaleźć się czas dla kultury i jakie problemy winny zostać poruszone?

● KAZIMIERZ KOZŁOWSKI - Wojewódzkie Archiwum Państwowe.

Zjazd partii powinien dyskutować o sprawach kultury. Sądzę że przede wszystkim dlatego iż dyskusja trwająca od wielu miesięcy wskazuje, że demokratyzacja w życiu kulturalnym jest wątpliwa. Chciałbym zwrócić uwagę na pierwszy problem - mianowicie: w latach 1949 - 59 ukształtował się pewien model mecenatu państwa nad kulturą. Model ten utrzymał się w zasadzie do dnia dzisiejszego, społeczeństwo zaś uległo wielkim przemianom. Sądzę że środki państwa, wprowadzając niebyły wielkie, ale państwo ma monopol na finansowanie kultury, często mijają się z faktycznym zapotrzebowaniem społeczeństwa. Moim zdaniem należałoby zaryzykować i powierzyć ruchowi społeczno-kulturalnemu placówkę kultury. Nawet może na zasadzie eksperymentu. Dać środki, które ma państwo, dać obiekty i zaufać, że ci ludzie potrafią teraz sami tworzyć pewne wartości, tym gospodarzyć co państwo ma, wzbogacać szczerze środki państwa. Oczywiście na pytanie, które mi postawiono można mówić bardzo długo, poruszać różne sfery życia kulturalnego. Sądzę, że potrzebna jest rewizja zasad i polityki kulturalnej, ale głównie środków i ich rozdziału oraz społeczna kontrola nad tym.

● DWA PAŃSTWA

"Obecnie w kraju działają dwa państwa: nominalne i równoległe. Wszyscy zainteresowani muszą sobie zdać sprawę, że kiedy dojdzie do sytuacji, w której państwo nominalne nic już nie będzie mogło dać w odpowiedzi na żądania "Solidarności", będzie to oznaczało również jej koniec. Nie można dalej osłabiać państwa nominalnego".

prof. Jan SZCZEPAŃSKI
/ na posiedzeniu Komisji Nadzwyczajnej do Kontrolli Porozumień Społecznych w dniu 8 czerwca br./



Zero artystostwa

Polacy mają szczególny kalendarz. Są w nim lata, które w pamięci narodowej skróciły się do jednego miesiąca. Czerwiec. Marzec. Grudzień. Sierpień.

Jeśli szukamy analogii politologicznej, Sierpień '80 był zjawiskiem unikalnym w skali świata: masowym ruchem robotniczym przeciw rżekomemu „państwu robotniczemu”. U uruchomił proces, który dziewięć lat później doprowadził w Polsce do demontażu ustroju socjalistycznego, monopolu partii i zależności od Związku Sowieckiego, a potem stał się jednym z głównych impulsów Jesieni Narodów i rozpadu całego bloku.

Może dlatego Mickiewiczowskie słowa: „O roku ów!” brzmią u nas inaczej niż w krajach, które wchodzą do historii spokojnym krokiem, przez kolejne ustawy, zmiany gabinetów, wybory i budowę autostrad. Polacy przez długie lata wchodzili do niej przez bramę fabryczną, przez zamknięty teatr czy plac w centrum miasta. Historia nie miała tu zwyczaju przychodzić punktualnie. Gromadziła się najpierw w mieszkaniach, na przystankach, w kolejkach, w szatniach zakładów pracy. I nagle, któregoś dnia wychodziła na ulicę.

Tak było w roku 1905, kiedy robotnicza Łódź stała się macecznikiem strajku. Nie inaczej było w Poznaniu w czerwcu 1956 roku, gdy robotnicy wyszli z kwitkami pokazującymi niskie wynagrodzenie, podniesione normy. Musieli zapytać, czy państwo to godność i prawda? W marcu 1968 roku zaczęło się od „Dziadów”, od odwołanego spektaklu i zdjętego afisza ręką cenzora. Dziś na nikim już nie robi wrażenia ta sławna w czasie zaborów formuła: „К печати не допускается” (wym. K pieczati nie dopuskajetsia) – Nie dopuszcza się do druku. Tamten, uwspółcześiony zakaz wobec Dejmkowych „Dziadów” odbił się echem w całym kraju.

Grudzień 1970 roku nad Bałtykiem zaczął się od podwyżek cen. W Szczecinie, Gdańsku, Gdyni i Elblągu ludzie przekonali się, że ich państwo, w odpowiedzi na żądania sięgnie po kulę, gaz i wojsko. Czerwiec 1976 roku zaczął się w Radomiu, Ursusie i Płocku. Ludzi tam pobitych, wyrzuconych z pracy, ciągniętych przez ulice w „ścieżkach zdrowia” widziała cała Polska. Ale pozostawił też coś, co dojrzało wolniej od gniewu: poczucie, że człowiek pobity w jednym mieście nie może zostać sam, jeśli w drugim mieście ktoś ma jeszcze odwagę protestować.

Za każdym razem tłum opuszczał ulicę bardziej doświadczony, choć najczęściej także bardziej poraniony. W roku 1980 nastąpiło coś, co odróżniało Sierpień od poprzednich miesięcy polskiego buntu. Gniew, który wcześniej wybuchnął i rozprząsał się pod pałkami, dostał formę. Pojawiły się komitety, delegaci, dyżury, postulaty, wreszcie – żądania i protokoły z pierwszych rozmów. Brama stoczniowa przestała być miejscem, przez które rano przechodziło się do pracy. Ustawiono w niej stół, przy którym państwo musiało usiąść naprzeciw swoich obywateli.

Tego nie wymyślili wyłącznie Polacy. Francuzi mają swój rok 1789, Niemcy czerwiec 1953, Węgrzy październik 1956, Czesi i Słowacy rok 1968. Każdy naród przechowuje kilka dat, które nie mieszczą się w zwykłym kalendarzu. Czasem są to daty zwycięstw, częściej dni, w których ludzie przekonali się, że ich wspólne milczenie to za mało na godne życie.

Sierpień 1980 roku miał własną scenografię. Na zdjęciach i filmach zostały flagi przy bramach, tablice z postulatami, twarze ludzi stojących w gęstym tłumie, uniesione pięści, kobiety przynoszące jedzenie, księża, robotnicy, studenci, dziennikarze. Za tą fotografią, która obiegła świat, pracował już inny Sierpień: rozdzielał odpowiedzialność za to, co wywalczył tłum.

Dla dziecka z podwórka z tej wielkiej lekcji mogła zostać przede wszystkim strona widzialna. Flaga. Krzyk. Zaciśnięta pięść. Ludzie idący razem środkiem ulicy. Tramwaj, który musi poczekać. Dorosły świat, którego nigdy wcześniej nie widzieli. Mocny, brutalny, głośny, zdeterminowany, a tym samym, no właśnie... bezkarny, nieodpowiedzialny, poddany żywiołowi emocji?

Stadion był dla takiej lekcji miejscem szczególnym. Grup kibicowskich nie spajał program polityczny, lecz rytuał. Barwy, przyśpiewka, flaga, droga na mecz i droga z meczu, starsi chłopcy, których znało się z osiedla, i młodszy, którzy chcieli kiedyś stanąć obok nich. Pamiętam ten klimat doskonale. Nie wiem, miałem 7-9 lat? Poszedłem na pierwszy mecz. Pogoń – Arkonia. Z Gumieniec. Na piechotę. Ale to, że szedłem ze starszymi, że słyszałem, jak nawołują się, krzyczą... Mój Boże – i ja tam byłem!

W grupie kibicowskiej łatwo było odnaleźć gotową odpowiedź na pytanie, kim się jest. Wystarczyło założyć szalik, podnieść głos

we właściwym momencie i wiedzieć, komu wolno ustąpić miejsca, a komu już... nie.

Ojciec, starszy brat, sąsiad z klatki schodowej, chłopak z dziesiątej klasy — wszyscy mogli być dla ośmio- czy dziesięciolatka ważniejsi niż jakikolwiek komentarz w gazecie. Dziecko nie potrzebuje znać całej historii, aby przejąć jej gest. Niekiedy wystarcza mu widok starszych, którzy idą razem i wiedzą, dokąd idą. Resztę dopowiada tłum.

Wiosną 1981 roku po jednym ze zwycięskich meczów Pogoni taki tłum wyszedł ze stadionowego świata i ruszył przez Szczecin. Z Twardowskiego w Jagiellońską. Potem przez aleję Wojska Polskiego, Bramę Portową, aleję Wyzwolenia, plac Grunwaldzki, plac Lenina. W mieście, które pamiętało Grudzień, droga przez centrum nigdy nie była zwykłą drogą.

Na kolejnej reporterskiej taśmie w moich zbiorach zachował się wywiad. Słysząc głos oficera Milicji Obywatelskiej. Mówi rytmicznie, ostrożnie, z pamięcią o tym, że każde zdanie może być potem cytowane. Przez kogo? Przede wszystkim – Radio Wolna Europa, Głos Ameryki czy BBC. W tle nagrania słychać głos, kobiecy. Gabinet komendanta? Nie pamiętam, ale w takich sytuacjach wypowiedzi dla radia nie udzielał szeregowy milicjant.

Zapis rozmowy

Oficer MO: Największe nasilenie ruchu kibiców skierowane zostało z ulicy Twardowskiego w ulicę Jagiellońską, a dalej w kierunku centrum miasta. Tłum ten poruszał się całą szerokością jezdni. Utworzyła się grupa około 1500 osób, na czele której stał młody człowiek z flagą Pogoni.

Marek Koszur: Siedemnastoletek.

Oficer MO: Siedemnastoletni, jak się później okazało. A uczestnikami tej grupy było sporo dzieci w wieku 8, 10, 12 lat oraz młodzież w wieku od 12 do lat 17. Są to najczęściej uczniowie szkół podstawowych i szkół ponadpodstawowych.

Ich zachowanie wskazywało na to, że spożywali alkohol. Grupa ta przez cały czas zachowywała się w miarę spokojnie, śpiewając jedynie pieśni pochwalne na cześć zwycięstwa Pogoni. Wielu z uczestników tego pochodu uderzało dłońmi o stojące na poboczu samochody. Utrudniono ruch pojazdów, zatrzymywały się tramwaje, nie jeździły samochody, a tych kierowców, którzy chcieli przedostać się przez tłum, po prostu do tej dalszej jazdy nie dopuszczano.

Pochód przemaszerował przez w zasadzie najważniejsze, najbardziej ruchliwe, centralne ulice miasta, bo przez Wojska Polskiego do Bramy Portowej, Wyzwolenia, plac Grunwaldzki, plac Lenina. Grupa ta przeszła co najmniej 6 kilometrów. Na wielu ulicach jednokierunkowych uczestnicy tego pochodu poruszali się pod prąd, uniemożliwiając swobodne kursowanie tramwajów, autobusów czy samochodów osobowych.

Marek Koszur: Wspomniał pan o tym, że uderzano rękoma o samochody. Czy są jakieś poważniejsze uszkodzenia tych pojazdów?

Oficer MO: Straty te mogą wynosić kilkanaście tysięcy złotych w tych pojazdach, które do tej pory zostały nam przedstawione do dokonania oględzin. Mówi się, że ci młodzi ludzie maszerowali po tych samochodach, po maskach, po dachach.

Ze śladów, jakie ujawniliśmy na dwóch pojazdach, ujawniono bezspornie ślady stóp czy obcasów butów na maskach tych wozów. Niemniej jednak z wgnieceń, jakie tam zaobserwowano, wynika, że tymi, którzy na te samochody wchodził, były to po prostu dzieci. Nie było przypadków, poza jednym, wybijania szyb w pojazdach.

Marek Koszur: Interweniowaliście, kiedy ta największa fala emocji już opadła.

Oficer MO: Zatrzymano czterech uczestników tego zajścia, z których żaden nie przekroczył 18. roku życia. W stosunku do sprawców tych incydentów, ale przede wszystkim za tamowanie ruchu, zostaną sporządzone wnioski do kolegów. Myślę tu o dwóch sprawcach, którzy w chwili popełnienia wykroczenia ukończyli lat 17. Natomiast do pozostałych skierujemy stosowne wystąpienia do szkół, do których oni uczęszczają.

Chciałbym tutaj nawiązać jeszcze do pewnych faktów z tak nie tak dawnej przeszłości. Mianowicie przed kilkoma tygodniami również odbywał się na Stadionie Pogoni mecz z drużyną gorzowską i wówczas efekty działalności kibiców były bardziej widoczne. Na mecz ten przyjechała dość liczna grupa kibiców Stilonu Gorzów. Po meczu, który zakończył się przegraną Pogoni, kibice niezadowoleni z wyniku spotkania spowodowali spore straty w pojazdach naszych gości z Gorzowa. Uczestnikami tego zajścia byli młodzi ludzie. Część z nich nie ukończyła 12. roku życia.

Ubolewamy bardzo z powodu tych zajęć. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy odpowiedzialni za utrzymanie ładu i porządku w tym mieście, ale z drugiej strony chciałbym, żeby ci, którzy nas słuchają, mieli pełną świadomość, w jak trudnych warunkach aktualnie pracujemy. Prasa informowała państwa o szeregu przypadków, w których funkcjonariusze MO nie mogli podjąć stosownych interwencji wobec sprawców ewidentnych przestępstw i jakiegokolwiek interwencje wobec tych osób kończyły się dużymi zbiegowiskami, a tłum ten, mimo wyjaśnienia im powodu naszej interwencji, żądał wręcz uwolnienia zatrzymanych sprawców przestępstw, strasząc nas nawet takimi zajściami, jakie miały miejsce w Otwocku.





Taśma i jej kalendarz

Oficer nie przywołuje Stilonu mimochodem. Mecz rozegrano 25 kwietnia 1981 roku. Pogoń przegrała u siebie z Gorzowianami 3:4. W milicyjnej relacji właśnie po tej porażce młodzi Szczecinianie mieli spowodować „spore straty” w pojazdach gości z Gorzowa.

Kilka tygodni później wynik jest już inny. Mecz, po którym doszło do wspomnianych wydarzeń i interwencji milicji, został rozegrany 23 maja 1981 roku.

Było to spotkanie 26. kolejki II ligi grupy zachodniej. Pogoń Szczecin grała wtedy na wyjeździe z Górnikiem Wałbrzych, a pojedynek zakończył się remisem 2:2. Zdobyty punkt przybliżył szczecinian do upragnionego awansu do ekstraklasy, jednak to właśnie radosna feta po powrocie do Szczecina oraz emocje związane z walką o awans wymknęły się spod kontroli, przeradzając się w burzliwe incydenty na ulicach miasta.

Ten marsz nie miał wyraźnego programu – niósł śpiew, triumf, flagi i zajął całe ulice.

Czym był?

W języku milicjanta: zakłóceniem porządku. W języku kibiców: zapewne przedłużeniem meczu. W języku socjologii: zachowaniem zbiorowym, w którym ludzie przestają występować jako pojedyncze osoby, a zaczynają działać według reguł przejętych od grupy, z którą właśnie się utożsamiają.

Dawniej tłum opisywano prosto. Miał porywać człowieka, odbierać mu rozum, obniżać próg wstydu i odpowiedzialności. Naukowcy dziś patrzą ostrożniej. Tłum nie jest workiem, do którego wpadają ludzie, aby wyjść z niego gorsi. W tłumie tworzy się wspólna tożsamość, a z nią granice zachowania. Czasem granice te powstrzymują przemoc. Innym razem pozwalają na działania, których człowiek sam nie podjąłby nigdy. Wiele zależy od sytuacji, od obecności rywala i od poczucia bezkarności. Także od reakcji służb i silnego przywódcy, który grupie nadaje ton i wskazuje cele.

Na szczecińskiej taśmie jest wiele elementów takiej sytuacji. Grupa idzie całą szerokością jezdni. W jej środku łatwiej uwierzyć, że miasto

należy na chwilę do maszerujących. Samochód przestaje być własnością konkretnego człowieka, który za chwilę będzie musiał znaleźć blacharza. Staje się częścią scenografii. Można w niego uderzyć dłonią, postawić but na masce i sprawdzić, czy dach wytrzyma ciężar chłopca, który jeszcze nie ma dwunastu lat.

Nie trzeba dopisywać tym dzieciom wielkiej politycznej świadomości. Nie maszerowały z listą postulatów. Mogły jednak znać formę, w jakiej dorosły świat wyrażał siebie od kilku już miesięcy. Flaga i zbiorowy śpiew są czytelne dla każdego. Tak samo rozpoznawany jest odruch, że duża grupa może zatrzymać tramwaj i uczynić z ulicy własny teren.

To nie dowodzi, że Solidarność nauczyła dzieci ulicznej przemocy. Byłoby to uproszczenie niemal równie wygodne jak milicyjny skrót o Otwocku. Ruch „Solidarności” próbował przecież dokonać rzeczy odwrotnej: przenieść społeczny gniew od maski samochodu do stołu rozmów, od spontanicznego wybuchu do odpowiedzialnej organizacji. W jego wielkości mieściła się umiejętność pilnowania własnego tłumu, prowadzenia sporów, negocjowania, pisania żądań i brania odpowiedzialności za słowo.

Dzieci

Tu jest rzeczywiście najważniejszy temat.

Nie da się udowodnić, że te ośmio-, dziesięcio- i dwunastoletnie dzieci dosłownie odgrywały role swoich ojców lub starszych braci. Ale jako hipoteza interpretacyjna jest to bardzo mocne. Nie kopiowały programu. Kopiowały formę.

Flaga. Tłum. Okrzyki. Zajęcie jezdni. Zatrzymywanie tramwajów. Uderzanie w samochody. Wejście na maskę czy dach. To nie jest jeszcze polityka ani nawet dojrzałe kibicowanie. To jest nauka społecznej przewagi: „jest nas wielu, więc miasto na chwilę należy do nas”.

W 1981 roku starsi mogli widzieć, że tłum potrafi wymuszać reakcję władzy, otaczać komisariat, zatrzymywać ruch, narzucać warunki. Dzieci przejęły z tego zachowania tylko smak grzechu: przekroczenia granicy w zachowaniu.

Chodzenie po samochodach nie musi być tu „wyrafinowaną” akcją.

Jest jednak czymś więcej niż przypadkowym wybrykiem. To rytuał odwrócenia porządku: samochód dorosłego, prywatny, stojący przy ulicy, zostaje na chwilę poddany dziecięcej władzy tłumu.

Najmocniejsza teza byłaby taka:

Nie powstawała jeszcze ideologia kibolska. Powstawała praktyka: hałas, tłum, flaga i bezkarność wystarczająca, by na moment przejąć miasto.

Nie mówiłbym jeszcze o „utrwaleniu standardów anarchii”. To byłoby za szerokie. Jedna taśma nie dowodzi procesu społecznego. Ale sama rozmowa pokazuje co najmniej dwa zdarzenia w niewielkim odstępie czasu: Stilon po porażce i późniejszy marsz po zwycięstwie. To już pozwala mówić o kształtowaniu się wzoru zachowania.

Najgroźniejsze nie jest nawet to, że dzieci uczą się niszczyć. Uczą się, że granica istnieje dopiero wtedy, gdy ktoś ją egzekwuje. A z tej relacji wynika, że milicja weszła do gry dopiero wtedy, gdy fala emocji opadła.

Nie jest jednak moim celem tłumaczenie intencji czy motywacji zderzających się stron. To zadanie dla specjalistów.

Przytaczam ten archiwalny zapis z zupełnie innego powodu. Mojego. Własnego. Oceny pracy reportera.

Tak. Ale nie zamierzam składać samokrytyki ani w odniesieniu do wywiadu ze Stefanem Bratkovskim czy w dalszej części tego wydania TVSiódemki – ze Stanisławem Wądołowskim oraz Edmundem Bałuką. Tak! Również ten materiał odnalazłem w moim archiwum!

Gdybym miał dokonać oceny reportera...

Jego rola w nagraniu wydaje się wręcz techniczna, lecz jest precyzyjnie wyznaczona. Nie podkręca rozmowy. Nie dostarcza słuchaczowi słów o hordzie, rozpasaniu czy terrorze młodocianych. Nie wywołuje wrażenia, że Szczecin stoi na progu katastrofy. Pyta o szkody. Przypomina pogłoskę o chodzeniu po samochodach. Sprawdza ją. Oficer odpowiada, że ślady ujawniono na dwóch pojazdach i że wgniecenia wskazują raczej na dzieci niż na dorosłych.

W tym miejscu reporter konturuje wypowiedź milicji.

Jeszcze wyraźniej robi to pytaniem o interwencję. Nie podnosi głosu. Nie oskarża. Zdaniem: „Interweniowaliście, kiedy ta największa fala emocji już opadła” stawia rozmówcę w sytuacji dyskomfortowej. Tysiąc pięćset osób przeszło przez śródmieście, blokując ruch i idąc pod prąd ulicami jednokierunkowymi. Milicja zatrzymała cztery osoby. Oficer uzasadnia to trudnymi warunkami pracy i możliwością zbiegowiska.

Reporter słyszy odpowiedź, ale nie prowadzi jej dalej. Słuchacz, niczym sędzia przysięgły, dostał pełny materiał dowodowy w odniesieniu do tego aspektu sprawy. Nie pyta o godzinę pierwszej interwencji, o liczbę funkcjonariuszy i dowódcę zabezpieczenia. Nie domaga się podstawy twierdzenia, że dzieci i młodzież spożywały alkohol. Nie zatrzymuje się przy kwestii Otwocka, nie przypomina, że tamte wydarzenia zaczęły się od pobicia ludzi zatrzymanych przez milicjantów. Pozwała oficerowi wygłosić końcowy monolog o zagrożeniu dla porządku.

Tak określił granice reporterskiej wivisekcji. Gdyby postąpił inaczej, stałby się rzecznikiem jednej ze stron. Nie miał obok siebie pijanego dwunastolatka podskakującego na dachu samochodu. Zadbał o fotograficzną panoramę wydarzenia z perspektywy milicjanta. Ale – zawoła każdy – niechby przywołał uczestnika drugiej strony. Niewykluczone, że tak zrobił. Nawet jestem tego pewny. Tyle, że w innym materiale. Bo zestawianie dwóch racji w jednym miejscu to już byłaby publicystka. Spór. A my mówimy o informacji, o newsie, relacji dla serwisu informacyjnego. Tam wymagana jest chirurgiczna precyzja i całkowita sterylność argumentów.

Zapis tej rozmowy pokazałem dwóm znajomym. Żaden z nich nie jest dziennikarzem. Z ich wypowiedzi ułożyłem taki raport:

Reporter: nie propagandysta, ale też nie śledczy

Najlepszym słowem jest chyba właśnie: konturuje.

Reporter nie tworzy sam narracji milicji. Zadaje trzy istotne pytania:

Najpierw zmusza oficera do przejścia od ogólnej opowieści o tłumie do konkretno: jakie są szkody w samochodach?

Potem wprowadza pogłoskę: „Mówi się, że ci młodzi ludzie maszerowali po tych samochodach”. To nie jest powtarzanie propagandy, lecz sprawdzenie jej granicy. I odpowiedź milicji jest znamienita: nie potwierdza masowego demolowania, lecz mówi o śladach na dwóch





pojazdach i o tym, że sprawcami były „po prostu dzieci”.

Najostrzejsze jest jednak zdanie: „Interweniowaliście, kiedy ta największa fala emocji już opadła”. To nie jest neutralne pytanie. Ono punktuje spóźnioną interwencję.

Ale reporter nie ciągnie tej sprawy dalej. Nie pyta: dlaczego nie

weszliście wcześniej? Dlaczego 1500 osób mogło przejść sześć kilometrów przez centrum? Czy nie obawialiście się skutków biernej obserwacji? Nie wraca też do twierdzenia o alkoholu, które pozostaje wyłącznie oceną milicji.

Dlatego nie nazwałbym go propagandystą w prostym sensie. Nie jest drugim oficerem MO przed mikrofonem. Jest jednak dziennikarzem ograniczonym ramą materiału: może zaznaczyć pęknięcie, lecz nie ma już prawa go poszerzyć.

Najbardziej propagandowy fragment nie wychodzi z pytania reportera, ale z końcowej dygresji oficera o Otwocku. Oficer dokonuje tam zasadniczego przesunięcia: z rozmowy o dzieciakach niszczących samochody przechodzi do opowieści o milicji zagrożonej przez tłum.

Oficer przywołuje też Otwock. To ważne słowo, bo pozwala zawęzić czas. W Otwocku 7 i 8 maja 1981 roku milicjanci zatrzymali i pobili dwóch mężczyzn. Pod posterunkiem zebrał się tłum. Sytuacja była groźna, lecz ostatecznie działacze „Solidarności” i opozycji nie dopuścili do linczu na funkcjonariuszach. W oficerskiej opowieści pozostaje jedynie końcowy obraz: tłum, który domaga się uwolnienia zatrzymanych i grozi milicji.

Przyczyna znika. Zostaje ostrzeżenie.

Otwock był dla milicji niewygodny, bo zaczynał się od brutalności jej funkcjonariuszy. Mógł jednak zostać użyty jako dowód na to, że władza ma trudności z egzekwowaniem porządku. Wystarczyło odwrócić kamerę. Zamiast pobitych - zobaczyć rozjuszony tłum. Zamiast pytania o działania milicji postawić pytanie o bezpieczeństwo milicjantów.

Tyle że Otwock był sytuacją zupełnie inną: tam tłum zareagował na pobicie zatrzymanych przez funkcjonariuszy. Oficer zrównuje więc reakcję społeczną na brutalność MO z potencjalną przeszkodą w zatrzymywaniu sprawców wykroczeń w Szczecinie. To jest moment, w którym instytucja ustawia siebie w roli ofiary. Reporter tej podmiiany już nie kwestionuje. Mówi – milcząc.

W latach 1980–1981 dziennikarze radiowi domagali się większego dostępu do informacji, większego udziału programów lokalnych w antenie ogólnopolskiej, ograniczenia wewnętrznej cenzury i możliwości rzetelnego opowiadania o sytuacji kraju. Potwierdzam. Słyszę te głosy, widzę te petycje. Ale też odpowiadam – ani razu cenzura nie zdjęła mi z anteny materiału mojego autorstwa czy przygotowanego przez członków mojego zespołu. A wtedy – odpowiadałem za całą politykę informacyjną Polskiego Radia w Szczecinie i po części – Ośrodka Telewizyjnego. Nigdy też na antenie tego radia i w paśmie wspólnych audycji całego Wybrzeża nie przypominam sobie zakazu, nakazu, cięcia czy zmiany wymowy materiałów, wymuszonego na nas przez kogośkolwiek. Nie znaczy to, że w innych redakcjach mogły mieć miejsce takie interwencje. Ale zastanawiam się, w której? W Rozrywce, Kulturalnej? Sportowej czy Ekonomicznej? Domagam się faktów. Z nimi dyskutować nie będę. Gdyby na którejś z relacji pojawiła się pieczętka: Nie dopuszcza się do druku (w praktyce: takiej pieczętki oczywiście nie było; cenzor mógł nie parafować materiału, nie wpisać swojego kodu, np. F3 albo B6). Ani razu kierownictwo rozgłośni i Radiokomitetu nie odpowiedziało mi przypomnieniem, kto w istocie pozostaje właścicielem mikrofonu. Ja trzymałem ten mikrofon w mojej ręce.

Owszem, z pracy zostałem zwolniony dyscyplinarnie, ale za przygotowanie materiałów z wieców wyborczych kanclerzy Schmidta i Kohla podczas wyjazdu reporterskiego na regaty w Bremerhaven. Dyrektor Puchalski strzelił obcasami, potwierdził Warszawie, że wyrzucił mnie na zbitą twarz, ale... kwitów nie wręczył. Wysłał mnie do domu z kategorycznym zakazem opuszczania mieszkania przez dwa miesiące.

- Przy tym tempie politycznej karuzeli prezesa za dwa miesiące już nie będzie.

Miał rację.

Ten z pozoru niewiele w sumie znaczący materiał znaleziony w kartonie ze starymi taśmami reporterskimi jest swego rodzaju modelowym przykładem mojej polityki informacyjnej – tak w kwestiach merytorycznych jak i warsztatowych. Po latach, jeden ze światków tamtych czasów określił tę metodę dość trafnie: zero artystostwa. Jest przykładem rzetelnej informacji. Rozszerzonej. Omijającej pokusę ideologicznego sosu.

W Szczecinie ten spór miał własny adres i własne nazwiska. W rozgłoszi powstała Komisja Pracownicza „Solidarności”. Niektórzy dziennikarze przedstawiali postulaty dotyczące pełniejszej informacji. Mój Boże... Przypominam sobie jedno z takich zebrań. Zbigniew Puchalski nie wytrzymał.

- Dość! – cytuję z pamięci. – Dość tego narzekania. Macie nowy wieżowiec, macie gabinety, sprzęt, wszystkie możliwości, najnowocześniejsze studia – więc – do roboty!

Jak można było nie nienawidzić takie szefa...

Można było. Skoro nie udało się po linii programowej i demokratycznej, to trzeba było sięgnąć po metody mniej subtelne. Ale to odrębny temat.

Materiał o kibicowskim marszu był trudny do ugryzienia przez cenzurę. Milicja? Funkcjonariusz odczytał to, co sobie napisał. Reporter nadał temu formę. Ta natomiast sama zmieniła się w komentującą treść. Więc do czego tu się można było przyczepić?

Inną funkcję pełnili autorzy klasycznych komentarzy politycznych. Ale władza nie miała do nich pretensji, jeśli jej nie chwaliłi, nie gloryfikując jednocześnie drugiej strony.

Celem radia było bez wątpienia uspokojenie nastrojów, pokazanie skali zdarzenia, przypomnienie mieszkańcom, że miasto ma swoje granice, a milicja nadal pełni funkcję stróża porządku. Nie można tej funkcji milicji zmieniać, bo akurat ktoś chce pobiegać po dachach samochodów. Milicja mogłaby przy takiej relacji ze społeczeństwem powiedzieć na wezwanie o bijatyce: a ile razy sobie dali po mordzie? Tylko tyle? OK, tak jak wypadną każdemu po dwa zęby trzonowe – dzwońcie. Wtedy przyjedziemy.

I dlatego warto uznać: dobrze, że zachował się nam materiał o czymś znacznie większym niż sześciokilometrowy marsz po meczu Pogoni.

Powrót do „roku owego” nie powinien prowadzić do taniej opowieści o polskiej skłonności do anarchii. Polacy nie różnią się od innych narodów tym, że potrafią się gniewać, wychodzić na ulicę, niszczyć cudzą własność albo tworzyć tłum. Takie zachowania należą do ludzkiego repertuaru. Pojawiają się tam, gdzie wspólnota czuje się silniejsza od pojedynczego człowieka.

Polska historia odrabia szczególną lekcję ulicy. Przez dziesięciolecia ona właśnie zastępowała instytucje, których ludzie nie mieli. Zastępowała wolną prasę, parlament, niezależny związek zawodowy, sąd, do którego można było pójść bez lęku. Wtedy ulica stawała się wielką salą rozmów. Czasem prowadzonych z godnością. Innym razem kamieniem wyrwanym z bruku.

Rok 1980 pokazał, że Polacy potrafią tłum zamienić w społeczeństwo. Na tej archiwalnej taśmie zostały dzieci na maskach samochodów, oficer z kartką, reporter z kilkoma pytaniami i miasto, które na chwilę nie mogło przejechać samo przez siebie. W tym małym zdarzeniu odbija się cała epoka.





39-b/ Po zakończeniu uroczystości prawie obowiązkowe zwiedzenie wybudowanego obiektu. Przez moment rzut oka na panoramę Szczecina z tarasu wieżowca.

Inż. Rajmund Sulik, red. Zbigniew Puchalski i prezes Radiokomitetu, Maciej Szczepański - zdjęcie ze zbiorów Władysława Kurusia.

Kilkanaście minut po godzinie 13.00

Wieżowiec

Tak. To „pał zachodniej Azji”. Inni wołali: przerost ambicji jednego człowieka – Zbigniewa Puchalskiego. To monstrum całkowicie wewnątrz niefunkcjonalne. Budynek jakby z kosmosu. Wieżowiec. Siedziba Ośrodka Radiowo-Telewizyjnego w Szczecinie. Oddany do użytku w 1980 roku. Cel anegdot oraz plotek. I... tajemnic.

Dygresja. Kiedy mój syn miał 3–4 latka, bywało, odbierałem go z przedszkola i przywoziłem do wieżowca. Szedł śmiało do okienka służby wartowniczej. Stawał na baczność. I czekał, aż wartownik wręczy mu klucz od mojego pokoju. To był dla wyobraźni dziecka moment magiczny.

Sytuacja powtarzała się przez kilka lat. Maluch zaprzyjaźnił się z wartownikami. Zaglądał do ich pokoju. Tam odkrył kilka monitorów telewizji przemysłowej, ale w drżenie wprawiał go dźwięk wielkiej gabloty pełnej kluczy. Ten szelest zawieszek, kółek i kluczyków. Któregoś razu ktoś zapytał malca: a kim ty chcesz zostać, jak dorosniesz? Bez chwili zastanowienia wypalił: „pilnownikiem kluczownikiem”. I co będziesz z tymi kluczami robił? Będę je rozdawał. Tu zawiesił głos i

wystrzelił: ale nie każdemu.

Do tego wieżowca będę jeszcze wracał. Nie z sentymentu. Dlatego, że bez niego trudno zrozumieć, jak wtedy rodziła się informacja. Dla widza radio i telewizja zawsze miały w sobie coś z innej planety: korytarze, windy, kawiarenki, pokoje z czerwonymi lampkami nad drzwiami, ludzie niosący mikrofony i scenariusze, twarze znane z ekranu, które nagle przechodziły obok jak zwyczajni przechodnie.

Warszawa miała Woronicza i jego studyjne korytarze, utrwalone choćby przez Andrzeja Wajdę w „Człowieku z marmuru”. Szczecin miał wieżowiec. Nie był dla nas prowincjonalnym odpowiednikiem telewizji przy Woronicza. Miał własną legendę. Był windą do miasta i ponad miasto. Miejscem, z którego czasem wydawało się, że to nie my patrzymy na Szczecin, lecz Szczecin patrzy na nas.

Ale wszędzie działała ta sama magia. Za drzwiami, do których zwykły widz nie miał dostępu, spotykali się ludzie mikrofonu i ekranu. Dla odbiorców — niemal Marsjanie. Żle się stało, że tak wiele z tej materialnej scenografii tamtego świata przepadło. Była równie ważna jak głosy i obrazy, które stamtąd szły w Polskę.

Nasz wieżowiec był najważniejszym punktem obserwacyjnym Szczecina. Naszym bocianim gniazdem. Jak na dawnych żaglowcach — nie po to, by zobaczyć coś, czego nikt inny zobaczyć nie mógł, lecz po to, by zobaczyć to wcześniej.

Co było z wieżowca widać? Wszystko. Od nastrojów politycznych po nadchodzącą burzę. „Głos Szczeciński” był dla regionalnej organizacji partyjnej tym, czym „Trybuna Ludu” dla całej Polski partyjnej. I bezpartyjnej także.

Godzina emisji nie była propozycją ani wskazówką. Była rozkazem

technicznym. Program nie tolerował nonszalancji, spóźnienia, nieprzygotowania ani zbyt długiego namysłu. Zapalało się czerwone światło. Antena. W tej chwili nie było już cofnięcia, poprawki, dodatkowego pytania czy montażu. Poszło. Jak po wciśnięciu dźwigni detonatora. Od tej chwili słowo przestawało należeć wyłącznie do ciebie. Tak właśnie funkcjonowały radio i telewizja. Niemal jak instytucje paramilitarne.

Taki rygor nie wymagał munduru. Ten stał się jego najprostszym, najbardziej dosłownym znakiem w stanie wojennym, gdy lektorzy „Dziennika Telewizyjnego” pojawili się na ekranie w wojskowych mundurach. Pomysł zaiste czartowski. Widz miał zrozumieć bez dodatkowego komentarza, że żyje już w innym świecie, choć pozornie wszystko wokół jest takie, jakie było jeszcze wczoraj.

Gazeta ukazywała się raz dziennie. Po całonocnym procesie produkcji, a wcześniej – redakcji. My, jak karetka pogotowia, dostarczaliśmy ten informacyjny bezpośredni i natychmiast, na ekrany i do głośników. Poziom oglądalności i słuchalności naszych przekazów był wręcz totalny.

Ale... żeby informować, trzeba najpierw informacje uzyskać. Nie mieliśmy w oknie wieżowca zamontowanego barometru nastrojów społecznych. Ten nosiliśmy w sobie. Napełnialiśmy go rozmowami z naszymi informatorami. W nas te ich słowa zamieniały się w treść kompletną tak pod względem faktów, jak i wymowy.

Słowo „wymowa” jest tu dość ryzykowne. Mam na myśli nie wymowę nacechowaną, ukierunkowaną, ale technicznie kompletną: kto, co, gdzie, kiedy, z jakiego powodu lub dla czego, a także – z jakim ewentualnie skutkiem. W tych pytaniach zawiera się cała wiedza na temat dziennikarstwa informacyjnego.

W telewizji pokazali, w radiu mówili.

W tamtych latach takie zdanie zamykało dyskusję. Albo ją inicjowało. Uzyskać sukces propagandowy można było tylko wtedy, jeśli działacz, dyrektor, aktywista stawali przed kamerą lub przed radiowym mikrofonem. Szczególnie rano. Wiadomości i komunikaty z serwisów porannej audycji całego Wybrzeża „Studio Bałtyk” sumowały dzień miniony i opisywały głównie akcenty dnia właśnie się rozpoczynającego.

Tak wieżowiec wrażał w nas, a my w niego. Był punktem, z którego dowiadywaliśmy się, że coś płonie, szumi, dymi, że idzie, nadchodzi, rozprzestrzenia się. Z kawiarenki i bufetu na XVI piętrze widzieliśmy statki wchodzące i wychodzące z portu, jachty idące ostro na wiatr na Jeziorze Dąbskim. Widzieliśmy dym nad Puszczą Bukową. „Bajerowaliśmy” warszawiaków, że z naszego wieżowca, przy dobrej pogodzie widać Kopenhagę, Pragę, a w Berlinie to nawet światła sygnalizacji ulicznej przy Kurfürstendamm. Nie protestowali. Wierzyli. Wiadomo. Wieżowiec.

Z wieżowca dobrze było widać stadion Pogoni. Jak coś się po meczu zaczynało dziać, widzieliśmy natychmiast. Pamiętam, któregoś razu jeden z kolegów zatelefonował do oficera dyżurnego milicji.

- Ile jednostek wysłaliście do opanowania rozróbki pod stadionem?
- A jest rozróbka?
- I to jaka, miasto zadymione świecami dymnymi i petardami.

Rzeczywiście, coś widzieliśmy. Ale tylko coś. Dowcip czy żart nie zawsze bywa salonowy.

Proszę bezwzględnie pamiętać: rozmawiamy o okresie bez Internetu, bez smartfonów z możliwością prowadzenia transmisji na żywo. Bezpośrednio z każdego miejsca. Bez błyskawicznej komunikacji każdego z każdym. To szalenie ważne doprecyzowanie dla opisanego kontekstu kolejnego materiału archiwalnego, który tak nieoczekiwanie odnalazłem w moim archiwum.

Poważnie mówiąc, rzeczywiście, oficer dyżurny milicji niekiedy od nas właśnie dowiadywał się i zaczynał weryfikować sygnały, że coś gdzieś iskrzy. Słynny radiowóz kapitana Henryka Makrockiego z pierwszą w mieście radiostacją UKF pozwalał nam dotrzeć w każde miejsce Szczecina i dzięki tej aparaturze przekazywać relacje na żywo do studia.

Marsz kobiet

W 1981 roku informacja rozchodziła się z ust do ust. W zakładach, na wydziałach, przy bramach, podczas delegacji, w rozmowach telefonicznych – służbowych i prywatnych. W autobusach, kolejkach, mieszkaniach, na klatkach schodowych i w parkach. Od człowieka do człowieka.

Wiadomość: „idziemy”, „zbieramy się”, „przyjeżdżamy” nie potrzebowała ani kamery, ani studia. Wymagała zaufania i czasu. Kiedy została puszczona w obieg, nie można jej było zatrzymać.

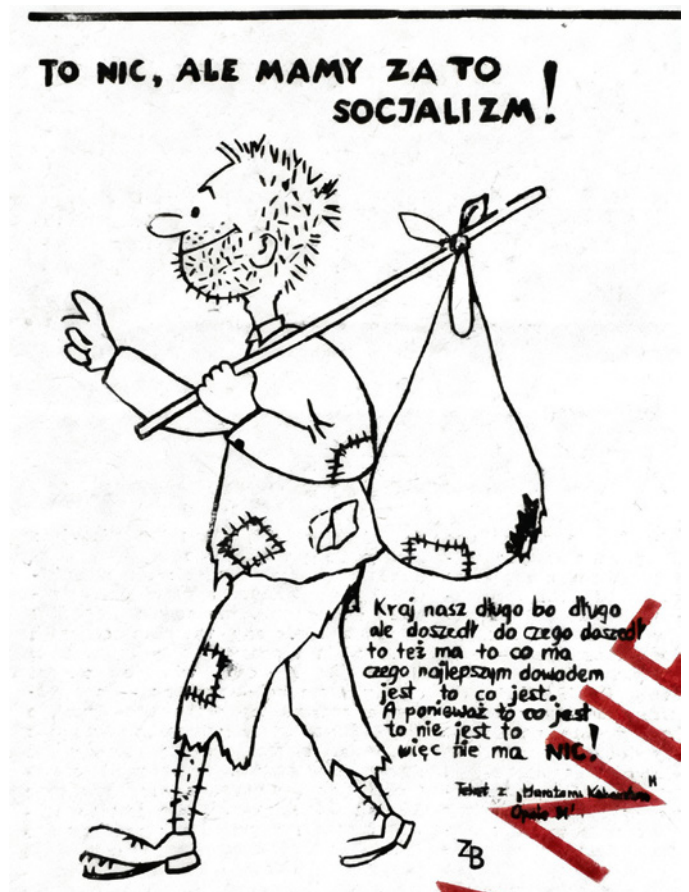
Na jednej z kolejnych archiwalnych taśm znalazłem fragment nagrania z Marszu Kobiet.

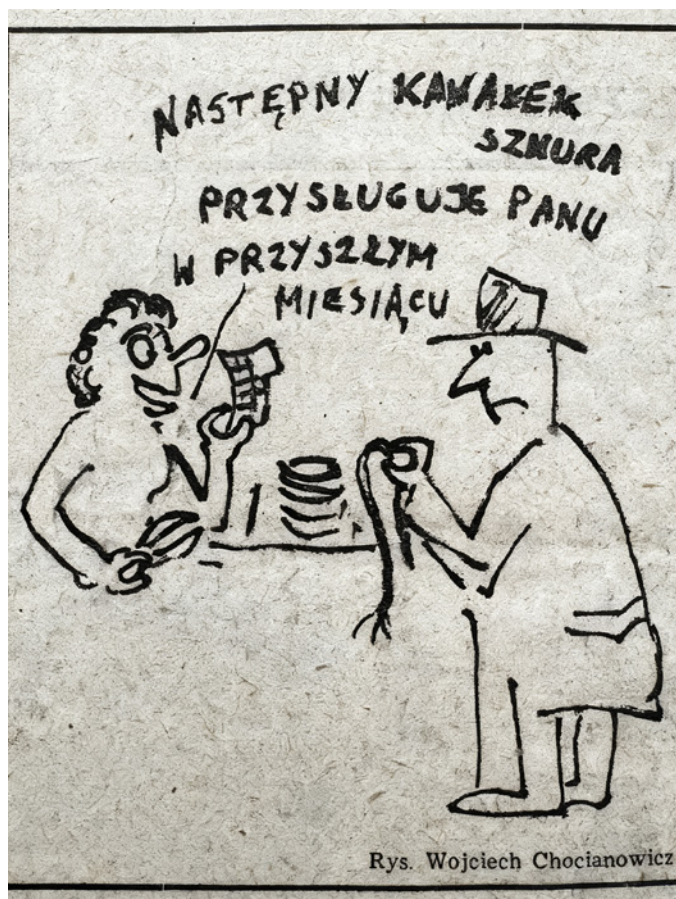
Marsz miał miejsce 31 lipca 1981 roku. Moja relacja zaczyna się i kończy w specyficzny sposób: podaniem godziny. To nagranie było więc elementem serii relacji z trasy przemarszu kobiet.

Nie jest to gotowy reportaż, zamknięta opowieść ani przekaz opracowany po wydarzeniu. To fragment antenowego zapisu prowadzonego w ruchu, w chwili, gdy marsz trwa, tłum się powiększał, a jego finał nie był jeszcze znany.

Aby z wieżowca pobiec na trasę protestu, trzeba było mieć dobry wynik na „setkę”.

Jazda samochodem była bez sensu. Gdzie postawię auto, dokąd z marszem dojdę, jak wtedy dotrę do rozgłośni z gorącym materiałem, miałbym wracać po auto? Czas, czas, czas płynął, a ja miałbym go wydłużać troską o auto?





Magnetofon na szyję, mikrofon w rękę i – przez klomby i fontanny, biegiem do czoła marszu. Tam, w pierwszym szeregu, mój rozmówca.

Tu zastrzeżenie. O marszu w redakcji oczywiście wiedzieliśmy, ale nie znaleźliśmy kulisów z nim związanych.

Widziałem Stanisława Wądołowskiego poprzedniego wieczoru w telewizji. Jego wystąpienie odbierałem jako próbę ostudzenia, może nawet zatrzymania marszu. Mój Boże. Łamistrajk? Ten człowiek, prawa ręka Jurczyka? Konsternacja. I ja mam z panem Stanisławem Wądołowskim rozmawiać, ale o czym? Że rząd ma rację? Polska jest biedna? Brak w niej wszystkiego, a żywności przede wszystkim? Więc nie ma co strajkować i maszerować tylko zintensyfikować produkcję?

Bez montażu

Stanisław Wądołowski był jednym z najtrudniejszych rozmówców, jakich spotkałem w całym radiowym okresie. Mógł z nim konkurować tylko Jerzy Jan Pachłowski.

Montaż wypowiedzi obu dżentelmenów wymagał wyjątkowych sprawności przy cięciu taśmy, w czym – bez skromności powiem – radziłem sobie nienajgorzej.

Dość, że któregoś razu moja koleżanka z redakcji literackiej przyniosła – załamana – wypowiedź literata. Z około dwudziestu minut udało się zmontować półtorej minuty potocznej wypowiedzi. Pisarz usłyszał fragment i rozpromieniony zawołał:

– Ależ to ja! To mój... głos!

– Tak. Głos Pański, ale „melodia” nasza.

Postuchajmy transkrypcji, dokładnego zapisu z taśmy reporterskiej.

Zachowany zapis relacji reporterskiej

Marek Koszur: Szczecin, 31 lipca 1981 roku. Kilkanaście minut po godzinie 13.00. Brama przy wejściu głównym do Stoczni Warszawskiego. Na ulicę miasta ruszył pochód. Pochód złożony z kobiet, pracownic tego największego zakładu pracy naszego regionu oraz przedstawicielek innych zakładów. Niosą na przodzie transparent: „Skończyć z głodzeniem narodu”. Przepraszam bardzo, pan Stanisław Wądołowski ze szczecińskiego Zarządu Solidarności. Wczoraj oglądaliśmy pana w telewizji. Podejmował pan temat, który jest aktualny dzisiaj dla szczecińskich kobiet. Proszę powiedzieć nam, kto jest organizatorem tego marszu, jaki jest jego cel?

Stanisław Wądołowski: Organizatorem marszu są kobiety. Z tym, że pan powiedział, że występowałem wczoraj. Ja występowałem przedwczoraj. To miało ukazać się przedwczoraj w Dzienniku Głównym i wtedy może byśmy tego marszu nie mieli.

Marek Koszur: Pan mówił o tym, żeście państwo sprawdzali. Mieliście wgląd w dokumenty, mieliście informacje o tym, że nie ma w lodówce państwowej tyle jedzenia, ile byśmy sobie życzyli. Jak interpretować zatem aktualną sytuację? Myślę tutaj o tym marszu i myślę o tym, że musiał pan również mówić tym ludziom, że sprawdzał pan te dokumenty, widział pan te materiały.

Stanisław Wądołowski: Tak, ale warunek był taki: Stocznia delegowała mnie do wystąpienia na KP (?), na Prezydium, żeby wykazać w telewizji, żeby te dokumenty faktycznie uwiarygodnić, bo to, co rząd mówi, to w ogóle nikt nie wierzył. W związku z tym potrzeba było jakiegoś świadka, który naprawdę może mówić. Jak pan widział, nie dano na to szansy, bo żeby to było przedwczoraj, w Dzienniku Głównym, mam nadzieję...

Marek Koszur: A co by to dało? Co by dało?

Stanisław Wądołowski: Po prostu uwiarygodnienie danych rządowych. Niech pan zapyta tych pań, które wczoraj słyszały, żeby słyszały przedwczoraj, bo dopiero wczoraj właściwie wyszła cała ta organizacja (marszu – podkr. M.K.). To raczej był tego marszu mogło nie być. Dzisiaj, obecnie w pracy, komentowaliśmy to z kolegami, z koleżankami i prawdopodobnie udałoby się do uniknięcia, ale to już machina została puszczona tak w ruch dalece, że trudno było przekonać o dniu dzisiejszym. Ludzie żądali dostępu do radia, do telewizji, wszędzie wcześniej mogliśmy to mówić i można było jakoś wytłumaczyć, wspólnie zobańczyć, ale wszystkie jakieś środki inne udostępnia się w samym końcu, wtedy, kiedy już jest właściwie aż tragiczne napięcie i dopiero wtedy mamy ten dostęp. W Stoczni, po przyjeździe, tłumaczyłem, że to będzie o pół do ósmej w tym Dzienniku. Z huty kobiety wcale by nie przyjechały. A dzisiaj jeszcze rano, bo nie każdy ogląda trzeci Dziennik, bo to jest bzdura, wstawienie o jedenastej w nocy. Dzisiaj rano. I co, i co, i w związku z tym mówi się, że rząd w ogóle nie dotrzymuje słowa ani nic i dlatego trochę więcej tych kobiet będzie w dzisiejszym marszu.

Marek Koszur: Do pochodu dołącza coraz więcej kobiet. Oklaskami nagradzany jest ten przemarsz. Ile zakładów włączyło się do tego marszu? Ile kobiet bierze w nim udział?

Stanisław Wądołowski: (lub głos z boku, z oddali): Dziesięć do piętnastu tysięcy.

Marek Koszur: Jesteśmy w tej chwili na Malczewskiego. Wchodzimy już do samego centrum miasta.

Stanisław Wądołowski: Na placu Dzierżyńskiego dołączają się wszystkie zakłady pracy, kobiety. Następnie dalej idzie do pod wojewódzki urząd. No i tam będzie właściwie wiec.

Marek Koszur: Dochodzi czternasta.

Koniec taśmy.

Nie: wczoraj. Przedwczoraj

Wądołowski poprawia reportera już na początku rozmowy.

Nie: wczoraj. Przedwczoraj.

Reporter zaczyna od zwykłego rozpoznania: widziałem pana w telewizji. Dopiero idąc w marszu dowiaduje się, że oglądane dzień wcześniej wystąpienie było materiałem nagrany wcześniej i prze-

znaczonym do emisji w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego.

To nie jest zatem reporter, który z góry buduje tezę o spóźnionej telewizji. On tę tezę odkrywa w trakcie rozmowy.

Dlatego pytanie: „A co by to dało? Co by dało?” - nie jest jałowym dopytywaniem. To moment reporterskiego zaskoczenia. Zaraz, twierdzi pan, że od terminu emisji zależał los dzisiejszego marszu?

Wądołowski mówi chaotycznie, ale sens jego wypowiedzi jest jasny. Materiał miał uwiarygodnić dane rządowe, którym społeczeństwo nie wierzyło. Miał pójść wtedy, gdy organizatorki marszu i związki zawodowe miały jeszcze czas na rozmowę, konsultacje i zmianę decyzji o organizacji protestu. Zamiast tego został wyemitowany następnego dnia, w późnym, trzecim wydaniu Dziennika.

„Nie każdy ogląda trzeci Dziennik”.

To jedno z kluczowych zdań całej taśmy.

Nie chodzi tylko o godzinę. Chodzi o rytm życia zakładów pracy. Informacja potrzebna była, zanim kobiety w zakładach, wydziałach i związkowych sieciach zaczęły przekazywać sobie: jutro idziemy, przyjeżdżamy, zbieramy się.

Gdy materiał wyemitowano, akcja była już uruchomiona. Kto obejrzał, mógł obejrzeć za późno. Kto nie obejrzał, następnego dnia dowiadywał się o marszu raczej od ludzi niż z telewizji.

To właśnie opisuje Wądołowski słowami o „maszynie puszczanej w ruch”.

Ze słów Stanisława Wądołowskiego wynika, że do Stoczni przyjechał w dniu pierwotnie planowanej emisji, przesuniętej potem na dzień następny. Mówi: „W Stoczni, po przyjeździe, tłumaczyłem, że to będzie o pół do ósmej w tym Dzienniku”. Wrócił z Warszawy, dokąd dwa dni wcześniej pojechał na spotkanie z przedstawicielami rządu. Mieli mu przedłożyć wiarygodne dokumenty potwierdzające stan gospodarki kraju, a zarazem argumenty, że słusznych skądinąd żądań kobiet nie da się spełnić zwykłą decyzją, podpisem czy pstryknięciem palców.

Z dzisiejszej perspektywy można odtworzyć taki zamiar: Wądołowski miał ten materiał ocenić, a jego stanowisko miało zaważyć na tym, czy Solidarność poprze marsz.

Dokumenty obejrzał, argumentów wysłuchał, a potem wystąpił przed kamerą Dziennika Telewizyjnego. Z jego relacji wynika, że miał uwiarygodnić dane rządowe: potwierdzić, iż sytuacja gospodarcza jest tragiczna i że postulatów kobiet nie da się spełnić natychmiast.

Wypowiedź zapisano. Termin emisji wyznaczono na główne wydanie Dziennika, dwie doby przed zaplanowanym marszem.

Po takim oświadczeniu organizatorki marszu mogły jeszcze rozważyć swoją inicjatywę. Miały cały dzień na konsultacje. Wieczorem Wądołowski zasiadł przed telewizorem. Sygnał wiadomości. I zero.

Słowa działacza szczecińskiego, mające przynajmniej na chwilę ostudzić wrzenie w kraju, nie zostały wyemitowane w planowanym terminie.

Konsternacja.

Konsternacja.

Tak musiał to widzieć: potwierdził przecież, że nie ma warunków na spełnienie żądań kobiet i że trzeba szukać innych sposobów.

Nie jest moim celem rekonstrukcja wydarzeń po niewyemitowaniu wypowiedzi Stanisława Wądołowskiego w planowanym terminie. Ale rząd strzelił sobie w stopę z wyjątkową celnością.

W epoce bez Internetu i smartfonów wyjaśnienia telefoniczne, poczta sąsiedzka i dalekopisy były wytwarzaniem wiatru przeciw huraganowi w celu odwrócenia kierunku obrotu skrzydeł wiatraka politycznego.

Ścigały się dwie informacje.

Pierwsza szła od rządu. Rozmowy, dokumenty, Dziennik Telewizyjny, najważniejsze wydanie programu oglądanego przez całą Polskę. Informacja przekazywana z góry.

Druga szła od kobiet. Przez zakłady, wydziały, delegacje, rozmowy. Od człowieka do człowieka. Decyzja: idziemy.

Te dwa obiegi miały, przy wykorzystaniu Wądołowskiego, biec współbieżnie. Rząd pokazuje dokumenty. Człowiek Solidarności je sprawdza. Przyznaje: sytuacja jest tragiczna, postulatów kobiet nie da się spełnić natychmiast. Występuje w Dzienniku. Apeluje o rozważę. Związek ma czas, by rozmawiać z organizatorkami i zatrzymać marsz.

Piękne. Wręcz idealne. Państwo u stóp suwerena.

Ale materiał nie poszedł wtedy, kiedy miał pójść.

Gdy marsz już ruszył, gdy Wądołowski stanął w jego pierwszym szeregu, władza mogła powiedzieć: pokazaliśmy waszemu człowiekowi dokumenty. Uznał nasze racje. Powiedział o tym w telewizji. A wy zlekceważyliście własnego przedstawiciela. Solidarność nie chce rozmowy, tylko dąży do eskalacji i zwarcia.

A skoro Solidarność idzie na zderzenie, to władza może już działać zdecydowanie. Nie musi się tłumaczyć. Może powiedzieć, że to nie ona zaostrza sytuację, lecz związek, który odrzuca nawet własne ustalenia.

Taśma nie dowodzi, że taki scenariusz został wcześniej przygotowany. Pokazuje jednak, że po spóźnionej emisji pojawiła się możliwość właśnie takiej interpretacji wydarzeń. Władza otrzymała argument, z



k którego mogła skorzystać.

Telewizja nie przegrała więc wyłącznie wyścigu z oddolnym obiegiem informacji. Od tej chwili każda ze stron mogła z tych samych faktów budować własną opowieść. I tu zaczyna słabnąć siła faktów. Coraz większą rolę odgrywają propaganda, retoryka i... polityka. Po obu stronach.

Jak prasa relacjonowała przebieg marszu kobiet?



„Kurier Szczeciński” z 03 lipca 1981 roku zatytułował relację „Protest szczecińskich kobiet” i opatrzył ją śródytułem: „Polepszyć warunki pracy i życia”. Już sam tytuł ustawia marsz jako wystąpienie społeczne i materialne, nie jako demonstrację partyjną ani związkową rozgrywkę.

Gazeta odnotowuje, że „kilka minut po godzinie trzynastej” delegacja kobiet ze stoczni złożyła kwiaty pod tablicą Pamięci Poległych w Grudniu 1970 roku. Kolumna, otoczona dwoma rzędami porządkowych w biało-czerwonych opaskach, ruszyła w stronę placu Dzierżyńskiego. Na jej czele niesiono transparent: „Skończyć z głodem narodu!”.



Wśród uczestniczek widziano także hasło: „Czym nakarmimy nasze dzieci?”

Opis „Kuriera” pokazuje marsz jako dobrze zorganizowany, ale nie pozbawiony emocji. Kobiety mówiły o kolejkach, reglamentacji, braku środków higienicznych, niedożywieniu, anemii kobiet ciężarnych i trudnościach ze zdobyciem żywności dla niemowląt. Maria Chmielewska ze Stoczni Szczecińskiej mówiła: „Wszystkiego jest za mało. Po ciężkiej pracy musimy wystawać w kolejkach”. Padaty też słowa znacznie ostrzejsze: „Nie można głodzić społeczeństwa”, „wszyscy zbliżamy się

do granic ludzkiej cierpliwości”, „gdzie są czyny? Gdzie realny program reform i program wyjścia z kryzysu?”.

Jest w tej relacji osobliwa sprzeczność. Mówczynie zapewnia: „Jesteśmy dalekie od politykowania. Zależy nam tak jak i wszystkim na spokoju”. Zaraz potem zwraca się do przedstawicieli władz partyjnych i państwowych, zarzucając im, że przez rok nie zrobili nic, aby zapobiec pogłębianiu się społecznych problemów. Marsz kobiet nie był więc politykowaniem w sensie partyjnej gry, ale z całą pewnością był wystąpieniem politycznym: mówił o odpowiedzialności państwa, sprawiedliwości, głodzie i cierpliwości społeczeństwa.

„Kurier” zapisuje także wystąpienie wojewody Tadeusza Waluszkiewicza. Wojewoda zapewniał, że władze terenowe podejmują działania, aby łagodzić trudności, i że będzie dbał, „aby w województwie szczecińskim było coraz lepiej”. W konstrukcji prasowego tekstu kobiecy protest otrzymuje więc najpierw twarz głodu, kolejek i gniewu, a następnie odpowiedź administracji: spokojną, rzeczową, operującą reglamentacją, handlem i walką ze spekulacją.

Dopiero po hymnie — jak zaznacza reporter, „wbrew zapowiedzianemu programowi” — głos zabiera Stanisław Wądołowski. „Kurier” pisze, że ostro krytykował działalność rządu w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy, obciążał władzę odpowiedzialnością za braki na rynku, polemizował z projektem podwyżek cen przedstawionym w telewizji przez Zdzisława Krasieńskiego i opowiadał się za szybkim wprowadzeniem reformy

gospodarczej.

Trzeba zauważyć język tej relacji. Wądołowski nie tylko „występuje”; zabiera głos „wbrew zapowiedzianemu programowi”, „nie przebijając w słowach”, a do propozycji rządowych odnosi się — według autora — „napastliwie”. To nie jest zapis przezroczyisty. „Kurier” buduje obraz: najpierw kobiety i ich konkretne cierpienie, potem spokojna odpowiedź wojewody, na końcu działacz „Solidarności”, który wprowadza polityczną temperaturę.

Po Wądołowskim przemawia jedna z kobiet. Jej nazwiska gazeta nie podaje. Zwraca uwagę, że „odbywa się wiec kobiet, a nie działaczy „Solidarności””. Próbuje odgradzić protest kobiet od wystąpień związkowych. Sama jednak zostaje wygwizdana; pojawiają się protesty, po których — jak relacjonuje „Kurier” — musi odejść od mikrofonu.

W tym miejscu odsłania się coś więcej niż zwykły incydent. Marsz kobiet nie był jednolitym obrazem. Był miejscem, w którym spotkały się głód, kryzys, robotnicza solidarność, władza, związki zawodowe, kobiecy protest i różne pomysły na to, kto ma prawo objaśniać sytuację społeczeństwa.

Ani słowem „Kuriera” nie wspomina o warszawskiej misji Stanisława Wądołowskiego, o zapowiadanej emisji telewizyjnej ani o jego przekonaniu, że gdyby materiał został nadany w planowanym terminie, marsz być może udałoby się odwołać.

I tu zaczynają się dwie rzeczystości.

Na radiowej taśmie Wądołowski mówi: „Ja występowałem przedwczoraj. To miało ukazać się przedwczoraj w Dzienniku Głównym i wtedy może byśmy tego marszu nie mieli”. Nie twierdzi: na pewno zostałyby odwołany. Mówi: może. Ta ostrożność jest ważna. Taśma nie dowodzi, że jedna emisja zatrzymałaby pochód. Pokazuje jednak, że Wądołowski widział w niewyemitowaniu materiału utracą możliwości.

W gazecie Wądołowski jest politycznym mówcą, który występuje poza programem i krytykuje rząd. Na taśmie jest człowiekiem przekonanym, że wcześniejsze przekazanie informacji mogło zmienić bieg

dnia. Nie są to dwa sprzeczne fakty. Są to dwa różne obrazy tego samego czasu.

Tak właśnie powstawała plastyka wydarzeń w świadomości obywatelskiej. Nie tylko z tego, co się stało, ale z tego, co powiedział działacz, co zapisał reporter, co usłyszał tłum, czego gazeta nie zanotowała i co przez niemal pół wieku leżało na taśmie w kartonie.

Próbka powietrza

Późniejsze opracowania historyczne pozwalają odtworzyć przebieg marszu, jego trasę, postulaty, nazwiska organizatorek i mówców, reakcję władz oraz skalę protestu. Wiemy, że wśród organizatorek była Maria Chmielewska. Wiemy, że marsz wyrósł z realnego kryzysu aprowizacyjnego, kolejek, obniżonych przydziałów żywności i utraczonego zaufania do władz. Wiemy, że źródła rozbieżnie szacowały liczbę uczestników: materiały Służby Bezpieczeństwa mówiły o około sześciu tysiącach osób, dokumentacja partyjna o liczbie przekraczającej dziesięć tysięcy. W moim nagraniu uliczny rozmówca mówi: dziesięć do piętnastu tysięcy.

Te liczby nie muszą się wzajemnie wykluczać. Każda mogła zostać podana w innym miejscu, o innej porze i według innej intencji. Najważniejsze jest coś innego: nie był to protest garstki ludzi. Była to demonstracja nastroju miasta.

Dokumenty zapiszą, że marsz odbył się 31 lipca. Podadzą liczbę uczestników. Odnotują wiec, postulaty, wystąpienia i reakcje władz.

Taśma zapisuje coś innego.

Pokazuje, jak rośnie tłum. Rejestruje zawahania, chaos wypowiedzi, zmianę tonu rozmowy. Chwyta chwilę, w której reporter dowiaduje się, że telewizyjne wystąpienie Wądołowskiego miało pójść dwa dni wcześniej, i że być może właśnie dlatego stoją teraz razem na ulicy.

Na czym polega nieoceniona wartość takich zapisów archiwalnych?

Najbardziej wnikliwa analiza i trafny dobór materiałów nie oddadzą napięcia, atmosfery, zakresu polaryzacji, zaskoczenia i zderzenia racji oraz poglądów.

Bez takich rejestracji pozostawalibyśmy przy opisach i przypisach. Moglibyśmy odtworzyć przebieg wydarzenia, lecz nie usłyszeliśmy jego atmosfery. Nie mielibyśmy wrażenia, że sami znaleźliśmy się w tym tłumie — i że jego napięcie udziela się także nam.

Taśma jest próbką powietrza, jakim wtedy ludzie oddychali.

Słuchać w niej nie tylko słowa. Jest tempo marszu, rosnący tłum, zawahanie, chaotyczna składnia Wądołowskiego, pytanie reportera, które zmienia swój wektor w chwili, gdy pojawia się nowa informacja.

Ile można wyczytać z zawahania, zawieszenia głosu, pytania, które w trakcie zadawania nagle zmienia swój wektor. To przykład nawigacji, ciągłego, ostrego kursu na wiatr. Żeby nie zaskoczyła nas żadna boczna fala.

Poza tym – spontaniczność. W takich zapisach i przekazach live górę nad strategią i taktyką często bierze emocja. Ludzie mówią naprawdę to, co myślą. Nie układają zdań, nie męczą się całą noc przed wywiadem, co i jak mają powiedzieć.

Tu jest tylko głęboka woda. Utoniesz albo wypłyniesz.

Dzisiaj też ogromny wpływ na przebieg relacji i transmisji mają

wydawcy. Moderator w studiu ma nieustanne połączenie z reżyserką. Tam dyktowane jest tempo rozmowy, narzucane pytania, categoryczne sugestie lub wprost zapada decyzja o zakończeniu wywiadu.

Słynne: „wracamy po krótkiej przerwie”.

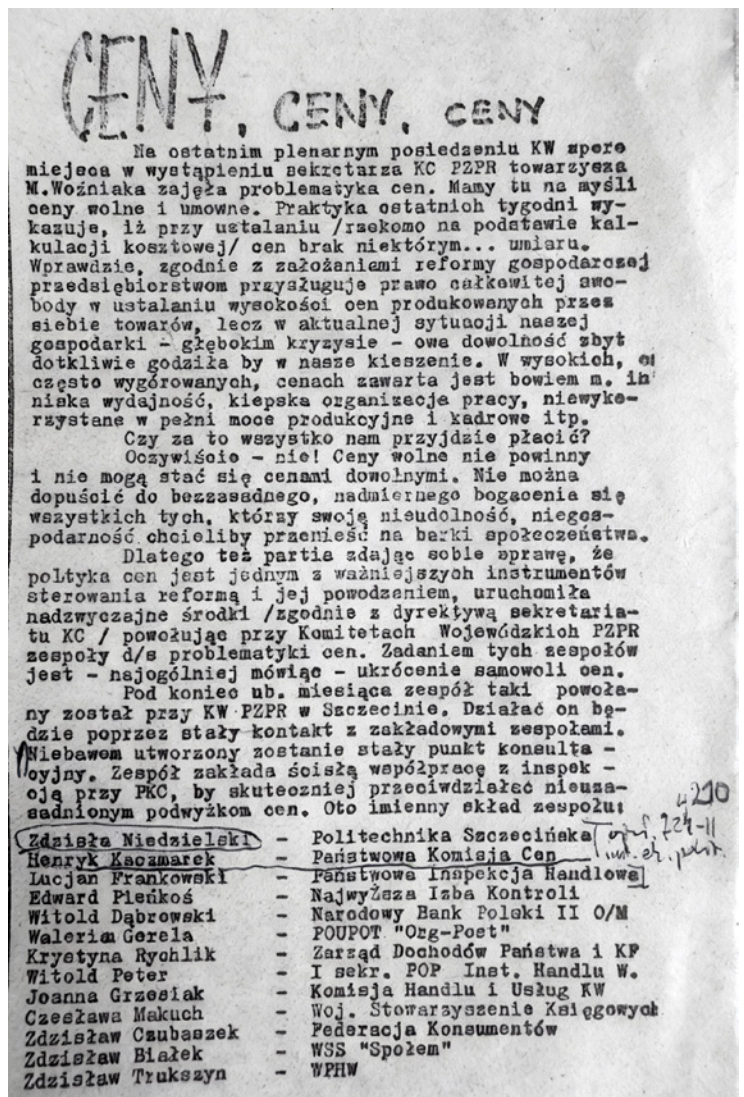
Dochodzi czternasta

„Dochodzi czternasta”.

Na tym urywa się zachowany fragment. Nie wiemy jeszcze, co wydarzyło się pod urzędem. Nie pamiętam, jak zaskoczył się wiec. Nie przypominam sobie, ile podobnych wejść z marszu na antenę mieliśmy tego dnia. Na pewno w „Przebiegach Aktualności Wybrzeża” i w porannym „Studiu Bałtyk”.

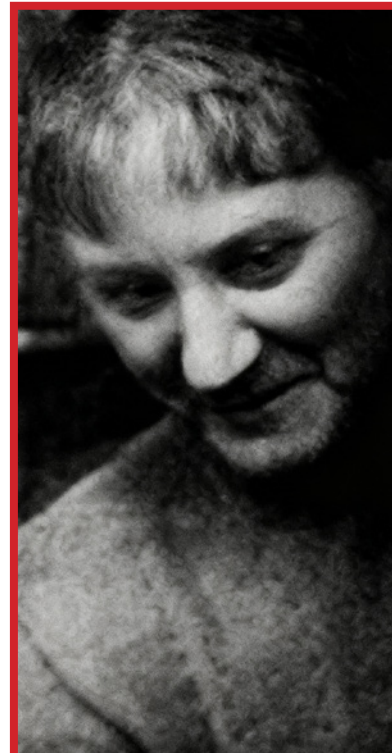
Kiedy dziś odsłuchuję ten zapis, mam wątpliwą satysfakcję, że od kilkunastu minut po trzynastej do czternastej jako reporter nie tylko relacjonowałem marsz kobiet. Słyszałem, jak w samym środku jego biegu odsłania się mechanizm, który, uruchomiony dwa dni wcześniej, mógł zmienić przebieg tego marszu. Idąc obok niego, próbowałem utrzymać kurs relacji reporterskiej pośród żywiołów atakujących statek od dziobu, burty i rufy. Każda ze stron próbowała narzucić własny kurs wydarzeniom.

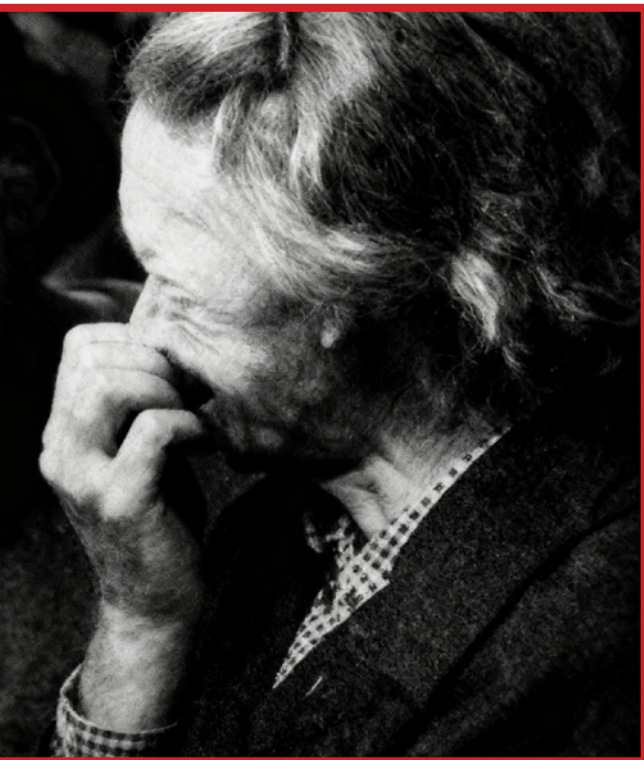
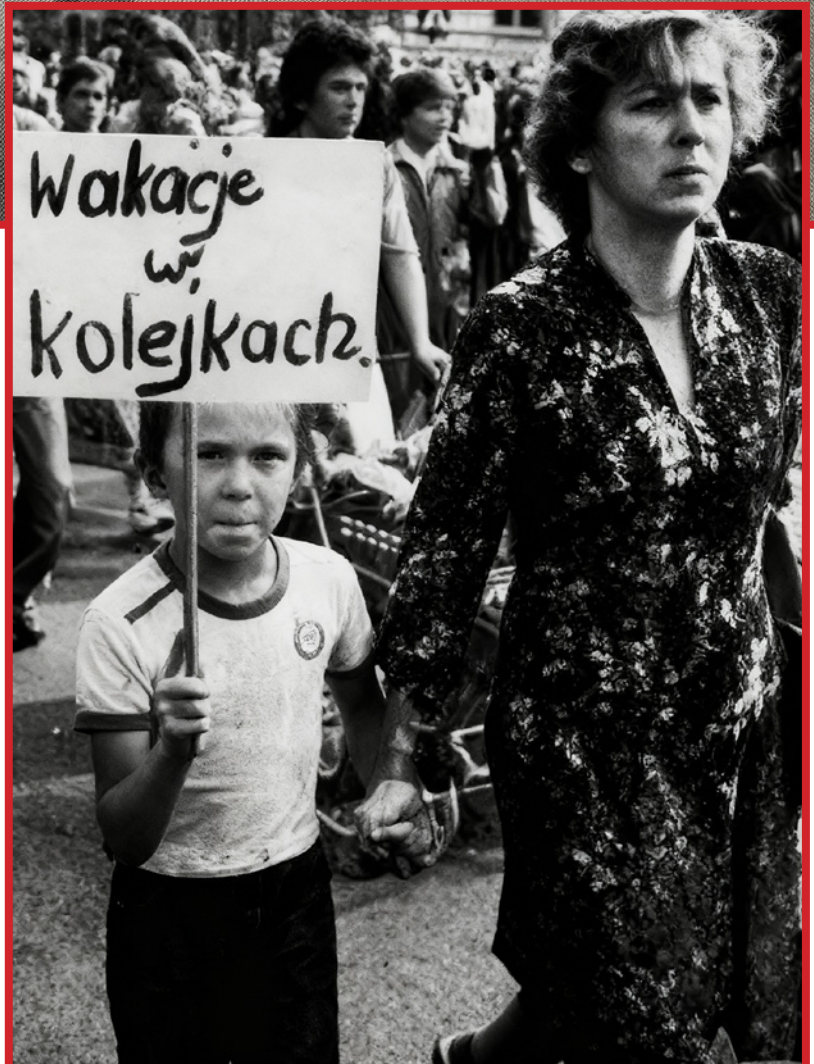
Reporter miał tylko jeden obowiązek: nie zgubić własnego.



Ikonografia, rysunki i wycinki prasowe pochodzą ze zbiorów autora. Nie wszystkie materiały zostały jednak opisane w sposób umożliwiający ich pełną identyfikację źródłową.

Marsz głodowy łódzkich kobiet fotografował WACŁAW RYMKO





Nie denerwuj mi pana Bałuki...

Odnaleziona taśma z rozmową z Edmundem Bałuką po jego nielegalnym powrocie do Polski



Taśma

Naciskam klawisz: start. Magnetofon wystartował... Dwie, trzy... czwarta sekunda. Biała rozbiegówka wprowadza taśmę z zapisem pod głowicę. W głośniku – słychać szum. Odgłos światła sprzed 45 lat. Wyrzyszy. Jakby nagrany przed chwilą.

Rok 1981.

Kwiecień. Kraj jest po kryzysie bydgoskim. Dziewiętnastego marca w Bydgoszczy pobito działaczy „Solidarności”. Przez Polskę przeszła fala protestów. Związek przygotowywał strajk generalny. Trzydziestego marca zawarto porozumienie warszawskie; strajk odwołano, ale spór o Bydgoszcz, o odpowiedzialność władz i o dalszy kierunek ruchu pozostał otwarty. W kraju trwały manewry „Sojuz '81”. W PZPR i w „Solidarności” ścierały się głosy dążące do porozumienia z tymi, które uważały, że kompromis tylko odracza kolejne starcie.

Sytuacja zmieniała się z minuty na minutę. Najmniejszy sygnał, plotka, gest, nieprzemysłane zdanie mogły mieć nieobliczalny wpływ na całkowicie rozchwianą sytuację w kraju. Spory dotyczyły podwyżek, dostaw żywności, kolejnych konfliktów w kolejnych zakładach pracy. Reakcje społeczeństwa stymulowane były decyzjami władz, komunikatami z Moskwy, plotkami o wojsku, gotowym wyjechać czołgami na ulice. Jestem przekonany, że nikt się wtedy nie spodziewał, że cokolwiek może zdominować ekspresję życia codziennego.

Niespodziewany powrót

EDMUND BAŁUKA W SZCZECINIE

21 kwietnia powrócił nielegalnie do kraju po ośmioletnim pobycie na emigracji Edmund Bałuka, przywódca strajku w Stoczni Szczecińskiej w styczniu 1971. Tego samego dnia odbyło się w stoczni nadzwyczajne posiedzenie Zakładowej Komisji Związkowej i Komisji Wydziałowych NSZZ „Solidarność”.



A jednak... To tak, jakby do pokera, w ostatniej rozgrywce dorzucić piątego asa.

Dwudziestego pierwszego kwietnia 1981 roku do Polski wrócił Edmund Bałuka.

Sprawa Bałuki

Edmund Bałuka należał do ludzi Grudnia 1970 i stycznia 1971 roku w Szczecinie. W grudniu był jednym z liderów strajku w Stoczni im. Adolfa Warskiego. W styczniu 1971 roku stanął na czele kolejnego strajku i prowadził rozmowy z Edwardem Gierkiem, Piotrem Jaroszewiczem, Wojciechem Jaruzelskim oraz Franciszkiem Szlachcicem. W stoczni występował jako reprezentant robotników, którzy po Grudniu nie uznali, że zmiana ekipy sama załatwia ich sprawę.

Po styczniowym strajku nie zniknął. Działal w radzie zakładowej i Komisji Robotniczej. W 1972 roku był delegatem na X Krajowy Zjazd Związków Zawodowych. Według własnej relacji jako jedyny spośród blisko tysiąca delegatów głosował przeciw kierowniczej roli PZPR. W listopadzie 1972 roku dostał wyświadczenie ze stoczni i stracił przepustkę.

Potem nastąpił wyjazd, który przez lata wyglądał jak ucieczka człowieka zaszczytowanego i pozbawionego pracy. Późniejsze dokumenty pokazują, że SB podjęła decyzję o „operacyjnym wyprowadzeniu” Bałuki z kraju. Ułatwiono mu zdobycie książeczki żeglarskiej i zatrudnienie na statku PŻM. Drugiego marca 1973 roku wypłynął ze Szczecina na pokładzie masowca m/s „Siekierki”; w Las Palmas opuścił statek.

Na Zachodzie nie stał się postacią z polonijnego salonu. Pracował jako robotnik, korzystał ze wsparcia związków zawodowych, jeździł na spotkania i mówił o Grudniu 1970, Gierku, wolnych związkach i Polsce. Udzielił dużego wywiadu Radiu Wolna Europa. W 1977 roku zaczął wydawać pismo „Szerszeń”. Program gazety obejmował między innymi likwidację monopolu jednej partii, wycofanie wojsk radzieckich z Polski, prawo do strajku, wolną prasę i wolne związki zawodowe.

Na odnalezionej taśmie Bałuka mówi o tej działalności własnym językiem. Wspomina Świtonia, Gwiazdę, wolne związki, pieniądze wysyłane ludziom bez pracy, broszury, publikacje, mityngi i protesty pod europejskimi ambasadami PRL. Nie przedstawia siebie jako dobroczyńcy. Mówi o pomocy dla ludzi, którzy później znaleźli się u początków „Solidarności”.

Co Polacy o nim wtedy wiedzieli?

W Szczecinie pamięć o Bałuce była silna. Znały go środowiska ludzi Grudnia, dawni stoczniowcy, część opozycji, ludzie słuchający Wolnej Europy. Nie ma jednak podstaw, by pisać, że cała Polska czekała na niego jako na przywódcę. Wielki wywiad dla RWE, artykuły, spotkania na Zachodzie i „Szerszeń” tworzyły jego pozycję, ale nie zastępowały obecności w kraju przez osiem lat.

Idę o zakład, że dziś to nazwisko kojarzy może jeden procent ludzi mojego pokolenia. Znaną szczecińską ulicę Obrońców Stalingradu nazwano jego imieniem. Pechowa ulica. Spacerujący nią mieszkańcy pewnie nic nie wiedzą o Stalingradzie, a o Bałuce równie niewiele.

Fighter czy rozrabiaka?

W obu określeniach mieści się część prawdy, zależnie od tego, kto patrzy. Władza widziała w Bałuce człowieka z robotniczą biografią, doświadczeniem strajkowym, kontaktami zagranicznymi, własnym pismem i programem, który obejmował sprawy dla niej zasadnicze: partię, Moskwę, wojska radzieckie, niezależne związki. Dawni koledzy widzieli przywódcę styczniowego strajku. Część ludzi mogła widzieć człowieka trudnego, ostrego, indywidualistę, niezależnego elektrona, którego reakcje nie zawsze dawały się przewidzieć, a słownictwo wykraczało dalece poza język literacki.

Mógł być potrzebny jako ostrze rozcinające kurtynę socjalizmu. Mógł być także człowiekiem, którego każdy chciałby mieć po swojej stronie, ale niekoniecznie w swoim prezydium.

Powrót

Po Sierpniu 1980 roku Bałuka próbował wrócić legalnie. Siemnastego października jego adwokat złożył w ambasadzie PRL w Brukseli list otwarty do Rady Państwa z prośbą o zgodę na powrót. Odpowiedź była odmowna. Bałuka pozostawał na liście osób niepożądanych w Polsce.

Sprawa jego powrotu nie spadła na szczecińską „Solidarność” całkowicie z nieba. Już jesienią 1980 roku Bałuka występował o przywrócenie prawa do pracy w stoczni, a w lutym następnego roku szczecińscy związkowcy zobowiązali się podjąć starania o umożliwienie mu powrotu do kraju. Zaskoczył mógł więc termin i forma przyjazdu — nie sama sprawa Bałuki.

Według relacji „Jedności”, po czterdziestu ośmiu godzinach podróży zjawił się w Szczecinie o czwartej nad ranem, „w peruce, z wąsami”. Kilka godzin później stanął w świetlicy głównej stoczni przed nadzwyczajnym posiedzeniem Zakładowej Komisji Związkowej i komisji wydziałowych. Nie ogłaszał programu przejścia związku. Oddał się pod decyzję stoczni: „Wy zdecydujecie co ze mną będzie, czy mam iść do więzienia, czy mam pracować w stoczni”.

Dwudziestego pierwszego kwietnia 1981 roku przyjechał do Polski na fałszywym francuskim paszporcie wystawionym na nazwisko Pierre Henri François Baron. Miał perukę i doklejone wąsy. Od razu pojechał do Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego i tam się ujawnił.

Tu muszę poczynić pewną uwagę. Wielokrotnie wyjeżdżałem wtedy za granicę. Miałem paszport służbowy, wiza uprawniająca do wielokrotnego przekraczania granicy. Do tego — legitymację prasową. Ale te

Decyzja stoczniowców

E. Bałuka powinien zgłosić się do prokuratury

WCZORAJ w świetlicy głównej Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego odbyło się posiedzenie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”, Komisji Wydziałowych oraz mężów zaufania, którego celem było o-

kreślenie stanowiska stoczniowców w sprawie Edmunda Bałuki, przebywającego, po nielegalnym powrocie do kraju, na terenie stoczni. Główną przyczyną zwołania tego forum był fakt iż E. Bałuka mimo ustnych gwarancji Prokuratury Wojewódzkiej, opublikowanych następnie w środkach masowego przekazu, jednoznacznie stwierdzających iż w oparciu o aktualny stan spraw, znajdujących się w prokuraturze, a dotyczących jego działalności poza granicami kraju oraz nielegalnego powrotu, nie zostanie zastosowany areszt tymczasowy — nie zgodził się na opuszczenie stoczni, żądając gwarancji pisemnych bądź też przybycia do niego na teren zakładu — prokuratora.

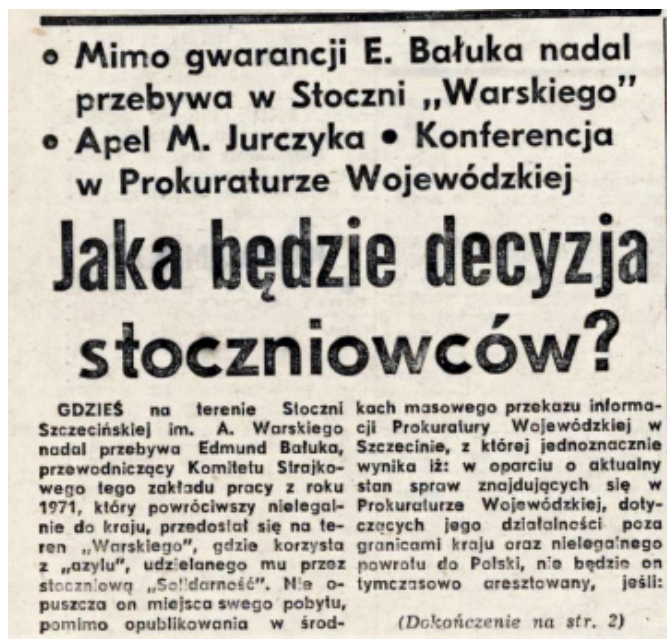
Podczas obrad, na które nie dopuszczono dziennikarzy, przedstawiciele 38, spośród 40 stoczniowych wydziałów, po u-

W sprawie środków masowego przekazu

Rozmowy przedstawicieli rządu i „Solidarności”

WARSZAWA PAP. 28 bm. odbyło się w Warszawie pierwsze posiedzenie zespołu roboczego ds. środków masowego przekazu przedstawicieli rządu i Krajowej Komisji Porozumie-

(Dokończenie na str. 2)



fakty w najmniejszym stopniu nie stwarzały okoliczności ułatwiających szybką odprawę paszportową i celną. NRD-owcy potrafili przetrzymać mnie osiem, dziesięć godzin. Całą noc przed szlabanem. Samochód był gruntownie przeszukiwany. Kiedy — już po roku 1981 — znalaziono w moim aucie egzemplarze niemieckich tygodników „Stern” i „Spiegel”, a w jednym z nich artykuł o domniemanym zamachu na Honeckera, miałem poważne problemy.

Dzisiaj przekraczam granicę — bywa — dwa, trzy razy dziennie. Tak, jakby jej nie było. Ale mamy rok 2026, a nie 1981.

Wtedy na granicy nie przepuszczano nawet cienia — tak przynajmniej ludzie myśleli. A tu człowiek w przebraniu przejeżdża do kraju i zjawia się wśród swoich. Z tego nie wynikała żadna wiedza. Rodziło się podejrzenie. A podejrzenie w 1981 roku pracowało szybciej niż oficjalny komunikat, także na łamach „Jedności”.

Skąd miał fałszywy dokument — tego na obecnym etapie nie rozstrzygamy. Źródła potwierdzają użycie paszportu i nazwisko, którym się posługiwał; nie wskazują wiarygodnie, kto dokument przygotował i w jakich okolicznościach.

Taśma

Unikam słowa — wywiad.

Wywiad ma swoje reguły. Jak każdy gatunek twórczości dziennikarskiej, wywodzący się z dobrze opisanej teorii gatunków literackich. Ale jak trzymać się reguł, gdy po zagranicy z woleja na następny cios można odpowiedzieć już tylko lewą nogą?

W tej rozmowie są pytania nie przygotowane i pytania wymuszone chwilą. Jest Bałuka, który za moment ma iść do prokuratora. Jest reporter, który wie, że rozmawia z człowiekiem oskarżanym o nielegalny powrót, ale zarazem z przywódcą dawnych strajków. Jest stocznia. Są ludzie stojący obok. Jest napięcie roku 1981.

Słyszę z taśmy mój głos. Hm... Trochę zadziorny? A może w podniesionym o pół tonu tembrze ukryta jest niepewność? O, teraz głos Edmunda Bałuki. Z dźwiękiem wraca wyraz twarzy mojego rozmówcy. Wyrazisty, doskonale zestrojony, w tempie, niczym nie hamowany, wręcz lekko prowokujący. Będę rozmawiał z człowiekiem, którego być może widziałem, gdy w 1970 roku szedł na cele pochodu stoczniowców, obok mojej szkoły przy Racibora. Wybiegliśmy wtedy z budynku i poszliśmy ulicą Gontyny pod Komitet Wojewódzki PZPR. Nigdy nie zapomnę szarości rytmu kroków. I niech to zdanie nie będzie tanią metaforą — wtedy zrozumiałem co znaczy wyraz: pomruk. Jest groź-

niejszy niż krzyk, zapowiada, ale nie zamyka gniewu. Buduje moc. Jej wizja jest, powinna być i była nadzieją skuteczną bardziej niż to pierwsze uderzenie pięścią w stół, który miał zamienić się nie w zapórę ogniomów z przedmiotów wyrzucanych z budynku partii, lecz płaszczyzną do dialogu, rozmowy, porozumienia na zasadach społecznych.

W „Jedności” zachowała się także osobna rozmowa Tadeusza Dziechciowskiego z Bałuką. Nie jest ona prasową wersją tej taśmy. Tam Bałuka opowiada przede wszystkim własną biografię, emigrację i drogę powrotną. Ja pytam go o prawo, fałszywy dokument, „Szerszenia”, KOR, ROPCIO, „Solidarność” i prokuratora. Tam mówi, co chce o sobie powiedzieć. Tu odpowiada na pytania, które musiałem mu zadać.

Kiedy dowiedziałem się, że Edmund Bałuka wrócił i jest w Szczecinie, pobiegłem na Małopolską. Oczekałem, aż koledzy z PAP zadadzą swoje pytanie i wysłał w Polskę depeche z dalekopisów. Magnetofon włączyłem, gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie. Bez limitu czasu i bez żadnej tezy. Wokół — kilka, może kilkanaście osób z bezpośredniego otoczenia mojego rozmówcy.

Start. Szum taśmy znika pod wagą słów. Edmund Bałuka nic o mnie nie wie, w czasie rozmowy zapomina, że jestem z radia, mówi o moich czytelnikach. Ja niewiele wiem o Bałuce, który przed chwilą, po latach emigracji, znalazł się w Szczecinie. Jest tutaj od godziny? Od dwóch?

Poniższy zapis zachowuje tok rozmowy, urwania, powtórzenia i ingerencje osób stojących w tle.

Marek Koszur Komunikaty, które ukazywały się po Pańskim przyjeździe tutaj do kraju, ustawiły sprawę w sposób jednoznaczny. Jest Pan w konflikcie z prawem. Przyjechał Pan w sposób nielegalny i od razu udał się Pan do stoczni, prosząc o — nazwę to — azyl.

Edmund Bałuka: Tak, to był azyl.

Marek Koszur: Czy potwierdza Pan jakąkolwiek nielegalność po pierwsze w swoim przyjeździe do kraju?

Edmund Bałuka: Jak się patrzy z ramienia prawa stosowanego w tym kraju, oczywiście jest to nielegalność. Natomiast moja własna opinia o tym, prawda, że tą nielegalność tego przyjazdu trzeba ściśle powiązać również z pewną nielegalnością mego wyjazdu, do którego zostałem zmuszony przez ówczesne kierownictwo państwa.

Marek Koszur: Co to znaczy zmuszony?

Edmund Bałuka: Po prostu dlatego zmuszony, że zostałem wyrzucony ze stoczni, straszony represjami zresztą, które by na pewno nastąpiły. I co więcej, chcąc po prostu ukryć własną głowę, bo wiedziałem doskonale, że nie będę karany politycznie, tylko będę karany jako pospolity przestępca prawdopodobnie, dlatego opanowany tym strachem konsekwencji uciekłem z kraju.

Marek Koszur: „Niewiele osób chyba przekona tego typu argumentacja. Chyba, że Pan z kolei ją uzasadni i uargumentuje. Czy wykorzystał Pan wszystkie możliwości tzw. ochrony głowy, jak Pan to powiedział, tu w kraju, w tamtym okresie?”

Edmund Bałuka: W tamtym okresie, proszę Pana, trzeba by było spojrzeć, odbić w lustrze okres tamten, kiedy społeczeństwo sterroryzowane doszczętnie, kiedy zostałem sam, kiedy moi własni koledzy bali się spotkać ze mną. Kiedy musiałem...

Marek Koszur: Stracili w Pana wiarę?

Edmund Bałuka: Nie stracili wiary, bali się konsekwencji. Po prostu po ludzku bali się konsekwencji. Gdyż już były... pełno funkcjonariuszy bezpieczeństwa po stoczni i w innych zakładach pracy.

Głosili, oficjalnie mówili, że spotkanie się ze mną powoduje, prawda, że aparat represji będzie stosował odpowiednie sankcje do takich ludzi. A więc wyizolowano mnie zupełnie z mojego otoczenia, co zresztą jest normalną metodą policji tego systemu.

Marek Koszur: Następuje więc konflikt prawa obowiązującego w tym kraju, w pierwszym przypadku, o którym mówimy i pańskiego punktu widzenia na całą tę sprawę. Jakiego pan się spodziewa efektu tej konfrontacji? Chodzi cały czas o nielegalność powrotu do kraju.

Edmund Bałuka: Ta sprawa, moim zdaniem, uzasadni powód ucieczki.

Marek Koszur: Powód ucieczki uzasadnia powód powrotu.

Edmund Bałuka: I ja uważam, zresztą jestem bardzo dobrej wiary, że w tej właśnie chwili odnowy w Polsce władze odpowiednie, prawda, prokuratorskie przyjmą tę argumentację.

Marek Koszur: Ale już się pojawiają głosy komentujące, że sprawa Bałuki powoduje, że nie zadziała zasada, o którą i związki, i władza, i społeczeństwo walczą, że prawo równe wobec wszystkich.

Edmund Bałuka: Mojej sprawy nie należy traktować jako takiej sprawy osobnej. I ja sądzę, że sprawa mego powrotu do kraju nie jest aż tak bardzo ważnym problemem, żeby prawo nie dało sobie z tym rady.

Marek Koszur: Czy ważniejszą w takim razie sprawą według pana jest pańska działalność na zachodzie?

Edmund Bałuka: Działalność moja w Polsce i działalność na zachodzie jest taka sama. Z tym, że...

Marek Koszur: Pan głosił określonego rodzaju poglądy, na przykład redagując „Szerszeń”.

Edmund Bałuka: Tak, głosiłem te same poglądy będąc w kraju. Chociaż nie było takiego programu.

Marek Koszur: Poglądy te są sprzeczne z obowiązującymi w tym kraju przepisami prawnymi, pańskim zdaniem?

Edmund Bałuka: Proszę pana, w tym kraju naprawdę jestem za krótko. I wiem, że zawsze tego rodzaju poglądy są zawsze sprzeczne, były sprzeczne przynajmniej od oficjalnego poglądu, który tutaj jest.

Marek Koszur: Czy to prawda, że pan nawiązywał do wręcz czynu zbrojnego?

Edmund Bałuka: Jeśli pan ma takie wiadomości, to bardzo bym chciał, chciałbym poznać tego człowieka, który odważył się taką insynuację rzucić na mnie.

Marek Koszur: Czy byłby pan łaskaw w dwóch zdaniach w takim razie przedstawić swój punkt widzenia i poglądy jako redaktora naczelnego tego pisma? Jaką pan fiszkę wpisałby pod tytułem „Szerszeń”?

Edmund Bałuka: Tadeusz, daj mi jeden „Szerszeń”.

Tadeusz: A tam nie mają?

Edmund Bałuka: Nie.

Tadeusz: No to już ktoś jednego zwinął.

Edmund Bałuka: No, ty im tylko pokazuj. To normalka... Moją dewizą jest jedna rzecz: walka o władzę mas klasy robotniczej może być dokonana tylko przez klasę robotniczą.

Marek Koszur: Praktyczna realizacja tego hasła jak powinna wyglądać?

Edmund Bałuka: To, co robi „Solidarność”.

Marek Koszur: Cały program i działalność.

Edmund Bałuka: Nie tylko „Solidarność”, ale to, co robi cały naród w tej chwili w Polsce.

Marek Koszur: Ale wiele uwag krytycznych pod adresem „Solidarności” Pan zdążył sformułować.

Edmund Bałuka: Proszę Pana, chyba sądzę, „Solidarność” nie byłaby „Solidarnością”, gdyby nie było uwag krytycznych.



Marek Koszur: Mówi się, że chce Pan przejąć „Solidarność” w swoje ręce.

Edmund Bałuka: Proszę Pana, naprawdę dziwi mnie to bardzo, że tak mało znacie prawdy o Szczecinie i o mieszkańcach Szczecina.

Marek Koszur: Prosiłbym o odpowiedź na to pytanie.

Edmund Bałuka: Już od Pana odpowiedziałem.

Marek Koszur: Mało znamy, to znaczy, że co? Że chce Pan przejąć czy nie?

Edmund Bałuka: Niech Pan wytłumaczy swoim czytelnikom, że w Szczecinie mieszkają ludzie bardzo spokojni. Robią dobre wybory, wybierają się, ludzie wybierają przywódców i tak jest stosowane w Szczecinie.

Marek Koszur: Jaką rolę Pan chce odegrać w tym związku? Poza pomocą fachową, poza radą?

Edmund Bałuka: Proszę Pana, ja się zastanawiam, czy się wpisać do związku i czy mnie przyjmą do związku.

Marek Koszur: A więc w przypadku Pańskiej działalności tam na zachodzie uważa Pan, że również nie ma sprawy?

Edmund Bałuka: Nie ma. Jeżeli by mnie oskarżał towarzysz Gierek czy ktoś inny, byłaby sprawa. Ale ponieważ towarzysz Gierek chyba nie będzie miał wpływu na to, żeby mnie oskarżać, no więc sądzę, że chyba sprawy nie będzie.

Marek Koszur: Kto był skupiony wokół tego pisma „Szerszeń”?

Edmund Bałuka: Są ludzie, którzy pozostali tam na zachodzie, wie Pan, ja nie mogę w ich imieniu mówić, Panu, i którzy powiedzmy, jeśli mi coś się złego stało, to ja nie wiem, czy oni zaczną wydawać „Szerszenia” beze mnie. Także trudno mi Panu dekonspirować tych ludzi, nie jestem nawet zobowiązany tego mówić.

Marek Koszur: Jest Pan, przepraszam, nie zacytuję, z pamięci, przewodniczącym Europejskiego...



Edmund Bałuka: ... Stałego Komitetu Pomocy Wolnym Związkom Zawodowym Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego.

Marek Koszur: Na czym polega działalność tego ugrupowania?

Edmund Bałuka: Sama nazwa wskazuje, niesienie pomocy.

Marek Koszur: Pisma, instruktaż?

Edmund Bałuka: Instrukcje, stamtąd przywieźć coś, jakieś pismo, publikować je na zachodzie, zawieźć tam, przywieźć też i publikować, to tłumaczyć na inne języki, uświadamiać ciemny naród w krajach kapitalistycznych, żeby się dowiedzieli, co się dzieje na wschodzie.

Marek Koszur: Jak to się wszystko konfrontuje z prawem tu obowiązującym?

Edmund Bałuka: O, proszę pana, a mnie trudno na to odpowiedzieć, bo myśmy z panem prokuratorem jeszcze na ten temat nawet telefonicznie o tym nie rozmawiali. Nie wiem, co prokurator powie o tym. Nie mam bliższego ku temu rozpoznania.

Marek Koszur: Ale jest pan człowiekiem na pewno doskonale obeznanym w prawie. Nie wierzę w to. Czy tego typu działalność, na przykład przerzucanie „Szerszenia” do kraju, to jest działalność chyba...?

Edmund Bałuka: Sądzę, proszę pana, że jeśli chodzi o ten komitet, to ja myślę, że jeśli będzie pan prokurator mi bardzo przypiekał piętę, to „Solidarność” wystąpi w mojej obronie naprawdę, z tego względu, że ja pomagałem „Solidarności”, kiedy jeszcze ona się tworzyła dopiero. Przecież nie kto inny, a Świtoń, kiedyś w wolne związki, Gwiazda, przecież oni dostawali od nas. Świtoń był bez pracy, myśmy im trochę pieniędzy posyłali, myśmy dawali broszury, od nich dostawaliśmy, myśmy krzyczeli tam mocno, robiliśmy mityngi, robiliśmy hałas wokół Polskiej Ambasady w Paryżu i w Londynie i wszędzie, wszędzie. Także ci ludzie, którzy u rdzenia zakładali tę „Solidarność” będą mnie chyba bronić.

Marek Koszur: Mówi się o bardzo silnych związkach pana z ROP-CiO i z KOR-em.

Edmund Bałuka: Nie, nie. To jest coś też niesamowite. Nie jestem związany z żadnym programem, z żadną opinią. Nie będę mówił tu o żadnej opinii i nigdy, nie teraz, ale w ogóle w przyszłości nigdy nie będę mówił, nie będę wydawał sądu o opinii KOR-u, o opinii ROP-CiO czy o KPN i tak dalej. To jest ich własna sprawa. Ja wszystko to przyjmuję do wiadomości. Ja mam własny program, własny pogląd i myślenie. I jeśli, ja tylko koryguję swoje sprawy względem ich, ale ja nie odważę się być ich, powiedzmy, reprezentantem, żeby coś mówić o ich programach.

Marek Koszur: Pańskie kontakty z Wolną Europą.

Edmund Bałuka: No to był wywiad, który pan już zna, zna cała Polska. Tak, opowiadałem, co się działo w 1971 roku.

Marek Koszur: To był jedyny sporadyczny, więcej nie było?

Edmund Bałuka: Jeden sporadyczny.

Marek Koszur: Słowem, idzie pan za chwilę na rozmowę z prokuratorem. Jest pan przekonany o tym, że żaden z paragrafów prawa w tym kraju obowiązującego nie może pana objąć?

Edmund Bałuka: Proszę pana, pan źle sformułował pytanie, że nie może mnie objąć, bo każdego obywatela każdy paragraf może objąć, prawda, nie? To jest inna sprawa, nie? Chodzi o to, że ja nie czując się zupełnie winnym cokolwiek, prawda, że nic nie zrobiłem cokolwiek, żeby było, kolidowało to z moim własnym sumieniem, przekonaniem jako Polakiem, prawda, te właśnie konflikty, które weszły, stały się faktem, prawda? Uważam, że Polski Kodeks Karny ma w swoich ustawach, żeby te sprawy oddalić ode mnie, jak gdyby na zasadzie

tej, że działałem zawsze w imię dobra Polski, w imię dobra polskiego społeczeństwa, dodając do tego jeszcze, że sam poniosłem wielką stratę, wielką krzywdę, oczywiście przebywając 8 lat na emigracji, że przez to została rozbita moja rodzina. Sądzę, że to ważne, są bardzo atuty ważne. I w kodeksie karnym jest takie coś, że można zupełnie człowieka uniewinnić, chociaż on powiedzmy dokonał czegoś, co w myśli prawa jest pewnym występkiem. Zresztą, ja nie jestem aż tak bogaty w interpretację kodeksu karnego.

Marek Koszur: Jest taka starorzymaska zasada, nieznajomość prawa nie zwalnia od odpowiedzialności. To jest pierwsza część pytania. I druga, jeśli prokurator postawi Pana w stan oskarżenia...

Edmund Bałuka: Nie można mówić o rzeczach, których jeszcze... historii się nie powtarza, historii nie napisanej. Jeżeli Pan w ten sposób sugeruje mi już o sprawie, o wyroku, to uważam, że Pan chce przstraszyć własnych czytelników.

Marek Koszur: Ale Pan musi o tym myśleć.

Edmund Bałuka: Proszę Pana. Jeśli znajdą maszynę do wykrywania myśli, to w ten czas będzie Pan miał bardzo ułatwioną sprawę, prawda? Będzie Pan tylko nastawił i już wszystko będzie.

Marek Koszur: Znam taką maszynę. To odpowiedź na moje pytanie.

Edmund Bałuka: Proszę?

Marek Koszur: Znam taką maszynę. Odpowiedź na to pytanie.

Edmund Bałuka: Niech Pan, ja Panu zadam pytanie. Czy pan uważa mnie naprawdę za dumnia?

Marek Koszur: Nie, ja zbieram materiał.

Edmund Bałuka: Pan zbiera materiał. Pan mnie nie zna, prawda? To właśnie wynika, że pan takie pytanie zadaje. Proszę pana, ja panu nie uciekam. Ja siedzę na krześle, spokojnie.

Marek Koszur: Nie, ale pan nie ucieka, bo to, przepraszam, ja nie przyjmuję tego. To nie jest argument.

Głos: Nie denerwuj mi pana Bałuki, bo mi... [gwar, nakładające się głosy]

Edmund Bałuka: Nie, nie on... miałem gorsze... miałem gorsze...

Marek Koszur: On na gorsze pytania odpowiadał.

Edmund Bałuka: Nie. Miałem gorsze, miałem gorsze chwile.

Marek Koszur: Po prostu, proszę pana, pan się musi liczyć z różnym obrotem sprawy. Myślę, że jadąc tutaj pan myślał, czy jadąc w samochodzie przez te 48 godzin, pan o różnych sytuacjach myślał, brał pan wszystkie ewentualności pod uwagę.

Edmund Bałuka: Człowiek, który czuje się niewinny, nie, gdybym nie był tak doświadczony, nie tak uodporniony, to bym się w tej chwili rozplakał, prawda.

Marek Koszur: Czy nie pomyślał pan już do tej pory, do tego momentu, żeby wrócić na Zachód?

Edmund Bałuka: Proszę pana, trzeba by mnie było skuć w kajdanki, wsadzić w samolot i zawieść. Jeśli to ktoś zrobi, to będę na Zachodzie, ale też będę znowu pierwszą lepszą drogą wracał z powrotem do kraju. Ja panu odpowiadam szczerze, że nic dla mnie w tej chwili nie jest istotne. Moje marzenie się już spełniło. Także, jestem szczęśliwy.



Cztery pola rozmowy

Najpierw Bałuka przedstawia własną teorię legalności. Przyznaje, że jego przyjazd był nielegalny według prawa obowiązującego w Polsce. Chce jednak tę nielegalność połączyć z wcześniejszym wyjazdem, do którego — jak mówi — został zmuszony. W jego rozumowaniu wygnanie i powrót tworzą jedną sprawę. Powód ucieczki ma uzasadnić powrót.

To jest jego linia obrony. Jest polityczna, moralna i osobista. Nie jest automatycznie wykładnią prawa.

Dalej Bałuka przedstawia siebie jako człowieka, który wrócił do kraju po to, by znaleźć się w środku przemian. Nie deklaruje, że chce przejąć „Solidarność”. Nie deklaruje też, że chce być wyłącznie jej doradcą. Odpowiada wymijająco, odwołuje się do szczecińskich wyborów i mówi, że dopiero zastanawia się, czy zostanie przyjęty do związku.

Ta odpowiedź mówi dużo. Bałuka wie, że pytanie o przywództwo zostało postawione. Wie również, że na początku powrotu jedno słowo o kierowaniu związkiem mogłoby go postawić poza nim.

Najmocniejszy punkt jego programu pojawia się przy „Szerszeniu”. „Walkę o władzę mas klasy robotniczej może być dokonana tylko przez klasę robotniczą”. Bałuka odsyła do tego, co robi „Solidarność”, ale zaraz rozszerza odpowiedź: chodzi o cały naród. W tej chwili jego socjalizm, jego robotnicza ideologia i doświadczenie Sierpnia spotykają się w jednym zdaniu.

Bałuka odcina się od formalnego związania z KOR-em, ROPCio i KPN oraz od roli reprezentanta któregośkolwiek z tych środowisk. Nie znaczy to jednak, że stawia siebie poza ich obiegiem. Zachowana partyjna charakterystyka „Szerszenia” odnotowuje, że pismo publikowało informacje o działalności KOR-u, traktowało go jako ważny ośrodek opozycji i deklarowało potrzebę aktywizowania środowisk opozycyjnych w kraju. Nie jest to dowód organizacyjnej zależności Bałuki od KOR-u ani innych grup. Pokazuje jednak polityczne powinowactwo, wymianę informacji i wspólną przestrzeń działania. Bałuka pozostawał osobny — ale nie samotny.

Wreszcie jest jego stosunek do prokuratora. Bałuka nie udaje, że nie wie, gdzie się znalazł. Wie. Zamiast odpowiedzi o ewentualnym oskarżeniu daje jednak odpowiedź o własnym sumieniu, dobru Polski,

krzywdzie emigracji i rozbitej rodzinie. Odmawia wejścia w język paragrafów, choć cały czas mówi o tym, że liczy na paragrafy.

To jest człowiek, który wraca do kraju nie po to, by zamknąć sprawę. Wraca po to, by ją otworzyć.

Reporter nie przyjmuje „perspektywy prawa PRL” jako ideologii ani nie staje po stronie władzy. Przyjmuje rzecz znacznie prostszą i konieczną: w państwie istnieje obowiązujące prawo, a rozmówca właśnie przyznaje, że świadomie je naruszył.

Najważniejsze zdanie tej rozmowy brzmi:

„Następuje więc konflikt prawa obowiązującego w tym kraju (...) i pańskiego punktu widzenia na całą tę sprawę”.

To nie jest oskarżenie. To rozdzielenie dwóch porządków: prawa oraz osobistego, politycznego i moralnego uzasadnienia.

Profesjonalny reporter nie waloryzuje prawa według własnych politycznych lub moralnych sympatii. Nie może powiedzieć: przyjechał pan na fałszywym paszporcie, ale rozumiem pańskie motywy, więc prawnie sprawy nie ma. Nie on orzeka o legalności, wyższej konieczności, okolicznościach wyłączających winę ani o politycznej ocenie przepisów. Ma prawo pytać o represje i wyrzucenie ze stoczni, o mechanizm wyjazdu, a także strach, osamotnienie i o sens decyzji. Nie może uznać tych motywów za automatyczne unieważnienie prawa.

Odpowiedzi Bałuki budują jedną konstrukcję tej rozmowy. Pytania reportera – drugą.

Pierwsze pole: nielegalny powrót. Reporter ustala fakty, pyta o świadomość konsekwencji i o to, czy Bałuka wykorzystał wcześniej dostępne możliwości ochrony. Bałuka odpowiada własną historią represji.

Drugie pole: Zachód. Reporter pyta o „Szerszenia” i program polityczny oraz związkowy, o działalność komitetu pomocy oraz przerzut publikacji; przywołuje wywiad dla radia Wolna Europa; wreszcie kwestia KOR i ROPCio. Te pytania są konieczne. Bałuka nie wraca jako prywatny człowiek po latach emigracji. Przywozi walizkę z pismem, działalnością, kontaktami i programem.

Trzecie pole: „Solidarność”. Reporter pyta, czy Bałuka chce przejąć

związek, jaką rolę zamierza odegrać i czy nie ma w zanadru własnej struktury dla tej organizacji. Pytanie jest zasadne. Człowiek o jego biografii nie mógł wejść do stoczni jak zwykły kandydat do pracy.

Czwarte pole: prokurator. Bałuka za chwilę idzie na rozmowę. Reporter pyta czy liczy się z oskarżeniem, jakie przewidział scenariusze spotkania z organami ścigania. A może już pomyślał o powrocie na Zachód? To nie jest straszenie samo w sobie. To sprawdzenie czy rozmówca, który przekroczył granicę na fałszywym dokumencie, rozważył wszystkie konsekwencje.

Są miejsca najwyższej temperatury. Nie wszystkie są błędami. Niektóre dziś wyglądają podejrzanie dlatego, że zapomnieliśmy, jak w 1981 roku krążyła informacja: półoficjalnie, szeptem, przez przecieki, przez obawy działaczy, przez podszepty aparatu, przez rozmowy w stoczniowych korytarzach.

„Niewiele osób chyba przekona tego typu argumentacja” nie jest czystym pytaniem. Reporter wyraża sceptycyzm wobec konstrukcji, w której wymuszony wyjazd miałby uzasadniać nielegalny powrót. Nie zamyka jednak sprawy. Zaraz mówi: „chyba, że pan z kolej ją uzasadni i uargumentuje”. Ciężar wyjaśnienia wraca do Bałuki. Ton trzeba odsłuchać. Od niego zależy, czy słyszymy prowokację do dalszej odpowiedzi, czy gotowy werdykt.

Pytanie o „czyn zbrojny” ma najwyższą temperaturę. Reporter nie stwierdza, że Bałuka do czynu zbrojnego wzywał. Pyta, czy to prawda.

W realiach 1981 roku takie pytanie nie musiało wynikać z oficjalnego dokumentu. Mogło pochodzić z plotki, ostrzeżenia, podszeptu, celowej wrzutki, rozmowy w korytarzu. Nie wiemy, skąd przyszło. Wiemy, że Bałuka dostaje możliwość natychmiastowej odpowiedzi. Odrzuca podejrzenie i nazywa je insynuacją. Reporter nie utrzymuje później tego zarzutu w powietrzu. Przechodzi do pytania o program „Szerszenia”.

„Mówi się, że chce pan przejąć Solidarność w swoje ręce”.

Tego zdania nie należy dziś poprawiać na wygodniejszą formułę. „Mówi się” nie jest tu unikaniem odpowiedzialności. Jest zapisem sposobu, w jaki w 1981 roku krążyły podejrzenia. Nikt oficjalnie, od kropki do kropki, nie musiał wystawiać Bałuce oceny. Wystarczał szept w stoczni, komentarz działacza, zwykła obawa albo przemądrzałe zdanie rzucone w kolejce.

Taka pogłoska mogła mieć kilka źródeł naraz. Aparat mógł chcieć neutralizować Bałukę. Część związkowców mogła obawiać się nowego ośrodka wpływu. Inni mogli po prostu pytać, jak człowiek w peruce i z cudzym paszportem przeszedł przez granicę.

Pytanie nie dowodzi, że Bałuka rzeczywiście chciał przejąć związek. Dowodzi, że reporter rejestruje podejrzenie, które już pracowało. Bałuka ma możliwość odpowiedzi i odpowiada po swojemu: odwołuje się do Szczecina, spokojnych ludzi i przywódców wybieranych przez ludzi.

„Nie wierzę w to”, „ale pan musi o tym myśleć”, „znam taką maszynę” — tu rozmowa osiąga najwyższe napięcie. Transkrypcja nie przynosi tonu. Dopiero odsłuch pozwoli rozstrzygnąć, czy słyszymy ironię, nacisk, półżart czy osobisty pojedynek.

Sam kierunek pytań jest jednak zrozumiały. Nie były to wyłącznie moje reporterskie pytania. W równoległej rozmowie Jacka Grażewicza z Bałuką, opublikowanej w „Kurierze Szczecińskim”, wracają droga jego powrotu, cudzy paszport, „Szerszeń”, Radio Wolna Europa, KOR, ROPCiO, KPN i zamiary wobec „Solidarności”.

Bałuka za chwilę idzie do prokuratora. Wrócił na cudzym dokumencie, po latach emigracyjnej działalności, prosto do stoczni. Reporter pyta, czy brał pod uwagę różne scenariusze. Nie po to, by go przestraszyć, lecz by ustalić, czy świadomie przyjął ryzyko.

Te cztery punkty to swoista forma kłusania. Nie rozmówcy, a sytuacji. Dwie strony, nierozpoznane, zderzone w tłumie okoliczności próbują zdecydować o formie prowadzenia sporu. Szabla, szpada a może zwykłe zapasy lub klasyczny boks?

Nie.

Żaden z tych aspektów nie miał i nie ma sensu. Sens ma tylko pole powiększonej nieco tolerancji, która w pracy „na żywo” musi być większa niż w studio, po gruntownym przygotowaniu się do rozmowy, z określonym i uzgodnionym tematem oraz zakresem pytań. Tutaj wszystko dzieje się metodą tzw. rozpoznania bojem. Ty strzelisz albo ciebie zastrzelą. Dubla taki wywiad nie przewiduje.

I najważniejsze. Ocena tej rozmowy musi być prowadzona z poziomu roku 1981. W chwili nagrania nie wiemy jeszcze o stanie wojennym, internowaniu Bałuki, jego procesie, wyroku, roku 1989, późniejszych orderach i konfliktach, o prezydenturze Wałęsy i personalizowanym późniejszym sposobie opowiadania historii „Solidarności”.

Wtedy wiadomo tylko tyle: Bałuka wrócił. Nielegalnie. Ujawnił się w stoczni. Stocznia i „Solidarność” muszą zdecydować, co z nim zrobić. Władza musi zdecydować, jak go wykorzystać albo unieszkodliwić. Reporter ma zdecydować, o co pytać.

„Solidarność” nie była w kwietniu 1981 roku pustym placem, na który Bałuka mógł wejść i stanąć na czele. Miała już Wałęsę, Jurczyka, regionalne kierownictwo, własne konflikty, własne ambicje i – tak, tak – porachunki. Bałuka wracał do ruchu, którego źródła współtworzył dziesięć lat wcześniej, ale którego codzienności przez osiem lat nie przeżywał. Był asem, to prawda, ale ze granej już talii kart.

Marian Jurczyk nie pozostawił wątpliwości, po której stronie staje kierownictwo szczecińskiej „Solidarności”. „Tu jest jego ojczysty kraj, tu jest jego zakład” — mówił. Uchwała komisji gwarantowała Bałuce pomoc i bezpieczeństwo; przyjęto ją przy ośmiu głosach wstrzymujących się. Było to poparcie potężne, ale nie bezwarunkowe. Z sali padały pytania, czy Bałuka jest „czysty”, czy nie ciąży na nim przestępstwa i czy jego obecność nie zaszkodzi związkowi. Sama „Jedność” odnotowała na końcu, że część załogi nie podziela opinii komisji zakładowej.

Czwartego maja został przyjęty do pracy w stoczni.

Nie była to jednak koronacja.

Jurczyk zastrzegł w „Kurierze Szczecińskim”, że ze „Szerszeniem” nie miał nic wspólnego, a niektóre koncepcje pisma uważał za nie do przyjęcia dla większości społeczeństwa. Kierownictwo stoczniowej „Solidarności” mogło więc bronić Bałuki jako człowieka Grudnia i stycznia, nie przyjmując automatycznie jego emigracyjnego programu.

Bałuka dostał stocznnię, poparcie części załogi i ochronę związku. Nie dostał „Solidarności”.

W szerszym środowisku związkowym jego sprawa nie była jednoznaczna. Część działaczy opowiadała się za mocnym wsparciem. Inni nie byli pewni stanowiska załóg i nie chcieli deklorować strajku w jego obronie. Późniejsza próba tworzenia przez Bałukę Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy budziła nieufność części działaczy, także dlatego, że mogła być odbierana jako projekt konkurencyjny wobec związku.

Nie budujemy z tego sztucznej opowieści: Bałuka kontra Wałęsa. Wałęsa był już przywódcą ruchu w skałi kraju. Jurczyk musiał w Szczecinie odpowiedzieć na praktyczne pytanie, co robić z człowiekiem, który właśnie przekroczył granicę na fałszywym paszporcie i prosi o azyl w stoczni. Bałuka wracał z własnym programem i własnym temperamentem, ale nie przejął ruchu. A czy chciał?

Sprawa prawna nie skończyła się prostym zamknięciem tematu. Związek nie uzyskał odstąpienia od postępowania. Prokuratura deklorowała jedynie, że Bałuka nie będzie tymczasowo aresztowany, jeżeli

zgłosi się do prokuratury, nie będzie się ukrywał, nakłaniał świadków do fałszywych zeznań ani w inny sposób utrudniał postępowania. Dwudziestego dziewiątego kwietnia zastępca prokuratora wojewódzkiego Mieczysław Krupka przedstawił Bałuce zarzuty. Latem władza wiązała kolejne działania z jego wystąpieniami politycznymi, a jesienią zarzuty rozszerzono. W tym szkicu trzeba zachować rozróżnienie: inne są okoliczności samego przekroczenia granicy i użycia fałszywego dokumentu, inne — późniejsze postępowania dotyczące działalności politycznej. Źródła, którymi dysponuję, nie pozwalają mi jeszcze napisać jednego prostego zdania: „sprawa nielegalnego powrotu zakończyła się tak i tak”.

Władza nie musiała sobie wyobrażać zagrożenia. Miała je opisać w programie „Szerszenia”. Niezależne związki, prawo do strajku, rady robotnicze, wolna prasa, likwidacja monopolu PZPR, wycofanie wojsk radzieckich — nie były to postulaty, które aparat mógł uznać za spór wewnątrz socjalizmu. Bałuka wracał z programem, który dla partii oznaczał zakwestionowanie fundamentów jej władzy.

Władza mogła obawiać się Bałuki z powodów konkretnych. Miał autorytet robotniczy, doświadczenie organizacyjne, własny program, kontakty na Zachodzie i zdolność do samodzielnego działania. Nie można go było łatwo przypisać do KOR-u, ROPCiO, KPN ani do kierownictwa „Solidarności”. Był osobnym problemem. Planeta spoza zsynchronizowanego układu słonecznego.

Nie ma podstaw, by twierdzić, że władza organizowała powrót Bałuki. Źródła mówią raczej o zaskoczeniu. Ale od chwili, gdy znalazł się już w Szczecinie, tęgie milicyjne głowy z pewnością nie próżnowały. Jak tę sytuację wykorzystać? To pytanie było jak najbardziej realne. Zachowane materiały pokazują, że kierownictwo MSW rozważało „skompromitowanie i zneutralizowanie wpływów” Bałuki.

Nie trzeba było zresztą wielkiego planu. Czasem wystarczyło rzucić garść błota. Że może jednak wrócił za wiedzą władzy. Że może został podrzucony „Solidarności”. Że może cała ta historia ma drugie dno.

No, proszę. Niech się teraz człowiek przed takim błotem obroni. Nawet jeśli po latach kolejne źródła wykluczą podobny scenariusz, zawsze znajdzie się ktoś, kto zapyta: „A czy to nie był agent bezpieki?”

Nie ma podstaw, by twierdzić, że władza organizowała jego powrót. Źródła mówią o zaskoczeniu władz; w przypadku szczecińskiej „Solidarności” zaskoczyć mógł termin i forma przyjazdu, nie sama sprawa Bałuki. Dokładnie tak ujął to Marian Jurczyk w rozmowie z „Kurierem Szczecińskim”: „O tym, że nosi się on z zamiarem powrotu do Polski, wiedzieliśmy. Jednakże jego pojawienie się w Szczecinie, w naszej Stoczni, było dla nas całkowitym zaskoczeniem”. Jest natomiast dowód, że powrót został szybko użyty propagandowo. Radio Wolna Europa przedstawiało go jako powrót pod opiekę „Solidarności”, gotowej bronić Bałuki przed represjami. Z kolei, według serwisu nasłuchu Polskiego Radia z 23 kwietnia 1981 roku, „Rudé Právo” zarzucało „Solidarności”, że prowokacyjnie przyjmując „kontrewolucjonistę”, zwiększa napięcie w kraju. Później kierownictwo MSW rozważało „skompromitowanie i zneutralizowanie wpływów” Bałuki.

Temperatura pytań

Taśma opowiada jednak dwie historie. Jedną mówi Bałuka. Drugą opowiadają moje pytania.

Na ile sposobów można wypowiedzieć proste zdanie:

— Piękną dziś mamy pogodę.



Na milion. Od zachwytu po wściekłość. Ale każda treść ma swoją najbardziej adekwatną formę.

Czy słuchacz lub czytelnik winien i chce dopatrywać się sympatii lub antypatii reportera?

Słuchacz ma wiedzieć, kto pyta. Nie powinien rozważać, komu reporter kibicuje.

To nie oznacza reportera bez emocji. Emocje są w głosie rozmówcy, w miejscu, w którym odbywa się rozmowa, w sytuacji człowieka przed prokuratorem, w głosach ludzi stojących obok. Reporter ma je słyszeć. Nie może ich przejąć.

Reporter nie pyta w studiu ani w pustym pokoju. Pyta wśród ludzi, którzy nie są neutralną publicznością. Dla części z nich Bałuka jest człowiekiem Grudnia, dawnym przywódcą, kimś, kto właśnie wrócił do swojej stoczni. Każde twardsze pytanie może zostać odebrane jako atak. Każda miękkość — jako zawodowa kapitulacja.

Okrzyk: „Nie denerwuj mi pana Bałuki” jest jednym z najważniejszych momentów taśmy. Pokazuje nie tylko napięcie rozmowy, ale i układ sił w pomieszczeniu.

Z historii nigdy nie byłem prymusem. Ale doskonale pamiętam trudne przeprawy przed obliczem pani profesor Borkowskiej, która zasiadała za katedrą, na zauważalnym podwyższeniu, i z równie wielką powagą pytała mnie o sprawy starożytnego Egiptu jak i o klimat roku 1918. Ale też w szkole już samo to ustawienie było ogromnym ułatwieniem w udzielaniu odpowiedzi z poziomu ucznia przepytывanego przez Nefertiti (której profile odlewaliśmy z gipsu w czasie fascynujących godzin w pracowni plastycznej, w ramach zajęć pozalekcyjnych). Rozmowa z Bałuką nie była odczytaniem zadania domowego. Czy była improwizacją? W żadnej mierze. Była określeniem pozycji, bez sekstantu i możliwości wyjścia na pokład by potwierdzić: świeci słońce czy Krzyż Południa.

Reporter w takiej sytuacji wie, że najmniejszy błąd w pytaniach może skończyć się po prostu fizycznym wyrzuceniem go na zbitą twarz. Co wtedy? Poszłaby w świat wiadomość, że Koszur to szpicel i kolaborant, na zlecenie ubecji chciał Bałukę przypiąć pytaniami do muru, z braku podstaw prawnych umożliwiających założenie mu kajdanek.

Z drugiej strony aparat i aktywny, słuchając takiej rozmowy, lewitowałyby pod sufitem z wściekłości, że patrz, jaki ten Koszur sprzedawczyk, jak się przefarbował, całe swoje dziennikarstwo sam opluł, liżąc tyłek temu, temu, temu...

Największe napięcie tej rozmowy nie polega na tym, że reporter pyta ostro. Polega na tym, że każde łagodne pytanie mogłoby zostać uznane za ucieczkę od faktów, a każde ostre — za udział w operacji przeciwko Bałuce.

Paw jednobarwny — reporter.

Nie zmienia upierzenia zależnie od tego, kto siedzi po drugiej stronie stołu: Bałuka, Gierek, Gomułka, Wałęsa, prokurator czy ktoś, kto za kilka tygodni może zostać osadzonym.

Reguły dopisywane po ruchu

Opowiadał mi jakiś czas temu szczeciński biznesmen, lider nowoczesności... Miał asystenta. Temu kupił jeden z pierwszych telefonów komórkowych. Nie wiem, jakie rachunki ów przedsiębiorca płacił za połączenia, ale wiem — i widziałem minę jego asystenta — który cały dzień i noc, wpatrywał się w telefon: czy pan prezes już dzwoni, czy zrobi to za chwilę.

I któregoś dnia prezes zadzwonił o jakiejś egzotycznej godzinie.

— Ty, gdzie ja jestem?

Asystent, wyprany z wszelkich emocji, wiedział, że nie może nigdy odpowiedzieć: „nie wiem”.

— Zaraz sprawdzę, panie prezesie.

— Masz tam jakieś mapy? Co widzisz?

Chłopak niby związał się jak w ukropie, coś tam bąkał pod nosem, szukał, weryfikował, robił kontrolowany bałagan na biurku, a w sumie wytwarzał warunki, aby wzburzenie prezesa obniżyło się poniżej poziomu realnej oceny sytuacji.

— To (xxx) za (xxx) co (xxx) ja (xxx) ci (xxx) tyle (xxx) płacę? Czy żądam od ciebie coś niemożliwego? To ty (xxx) nie (xxx) wiesz, (xxx) gdzie (xxx) ja (xxx) jestem? (xxx) Chyba (xxx) cię (xxx) zwolnię. (xxx).

Asystent potakiwał, sam zamieniał się w „nic”, bo wiedział, że za chwilę usłyszy mniej więcej takie zdanie:

— Skoro minąłem Sławno, a na zakręcie była nazwa wioski, to jeśli w jej środku skręciłem w prawo, bo innego skrętu nie było, to dalej jadę na Szczecin.

Charakterystyczny trzask w słuchawce oznaczał, że prezes właśnie się „odnalazł”.

W 1981 roku graliśmy w grę, której reguły były opisywane nie przed, a po wykonaniu ruchu przez jedną ze stron.

Dziś odnoszę wrażenie, że nawet nie o jakieś reguły cały spór wtedy szedł. Chodziło o tę nadmierną saturację, pieniącą się zaskoczeniami, rekonfiguracjami, brakiem dystansu.

Każda strona wiedziała coś o świecie, ale nikt nie miał jego mapy. Komitet partyjny, stocznia, prokuratura, związek, redakcja, słuchacz, reporter z magnetofonem — wszyscy byli w tym samym kraju, lecz każdy widział go inaczej.

Dziennikarz maluje obraz świata bez podpowiedzi, jaki pejzaż tworzy. Każdego dnia dokłada do płótna elementy podrzucane przez rozwój wydarzeń. Nie ma prawa wypierać się mułu, w którym pracuje. Nie może też pozwolić, aby muł pisał mu pytania.

Jeśli zatem przeanalizujemy wymowę materiału — bez wydawania wyroku nad rozmową, bo jest ona dokumentem chwili — możemy zastanowić się, jak zachowałbym się dziś, w 2026 roku, w sytuacji, gdy nagle pada wiadomość, że Gierek wrócił. A może lepiej: że Gomułka właśnie rozstawia Biuro Polityczne po kątach i wchodzi na trybunę.

O co i jak miałbym pytać obu dżentelmenów?

To nie jest surrealizm. To jest hiperrealizm.

Dziennikarz, jak dobry samochód wyścigowy, musi mieć zarysowane wszystkie błotniki, wybite reflektory, pogięte wycieraczki i wyskakującą z obudowy dźwignię zmiany biegów. A na drodze medialnej winien zachowywać się jak Yves Montand w „Cenie strachu”, jadąc w dół z ładunkiem nitrogliceryny na pace. Jeden kamyk, uskok, wybój, dołek — i pół świata legnie w gruzach.

Fajny zawód to dziennikarstwo.

Bo choć sama rozmowa z Bałuką jest może sensacją archiwalną, to w gruncie rzeczy ciekawsza kwestia dotyczy roli reportera w świecie, który on nam — czytelnikom i słuchaczom — swoimi relacjami buduje.

p.s. jakoś nigdy się chyba nie zastanawiałem, czym mógłbym się poza dziennikarstwem w życiu zajmować.







Zbigniew Puchalski

1933-2023

Z mojego codziennika.
6 października 2023

Kilka minut po dziewiątej rano rozmawiałem z synem. Telefon zasynalizował, że ktoś próbuje się do mnie dodzwonić.

– Wiesz, Piotr Puchalski dzwoni... – powiedziałem do mojego Piotra. – Wiem, po co...

Przed czwartą rano obudził mnie jego Ojciec.

– To już pan nie żyje? – powiedziałem zupełnie spokojnie. On nie odpowiedział. Wolno wstał z fotela, którego nigdy wcześniej nie widziałem. W swoim domowym gabinecie miał zupełnie inne. Nie mogłem też zorientować się, gdzie byliśmy. Odwrócił się w moją stronę przez swoje prawe ramię i... ruszył przed siebie.

– No, dobrze... – powiedziałem, odzyskując już pełną świadomość w zupełnie ciemnym pokoju. Byłem zaskoczony, że mówię na głos i widzę coś, czego nie ma. Spojrzałem na zegarek. Zdziwiłem się, że jest kilka minut po trzeciej, a nie – jak mi się wydawało – przed chwilą dochodziła czwarta rano.

Oddzwoniłem do Piotra.

– Ojciec odszedł dziś w nocy. W fotelu, pewnie usnął, oglądając telewizję... Myślę, że było to nad ranem.

– Tak – potwierdziłem – po trzeciej, ale przed czwartą...

– Przepraszam... – usłyszałem, jak głos całkowicie mu się przełamał na słone kryształki...

Pan redaktor Puchalski. Zbigniew Puchalski. Rzadko zwracałem się do Niego per „panie Zbyszk”. On zwykł był zawsze mawiać: Marek, pan rozumie...

Ale słowo „redaktor” chyba mu się podobało bardziej niż „dyrektor”. Był nim kilkadziesiąt lat. Czyli zawsze. A dziennikarzem chciał być. Też zawsze.

– Marek, panu łatwo ta robota przychodziła, ja musiałem się narzeźbić, żeby komentarz czy felieton miał swój styl i kształt...

Realizował się bez reszty w zarządzaniu, inspirowaniu, organizacji i negocjacjach.

– Marek, ja jestem długodystansowcem. Już im się wydawało, że zapomniałem, zrezygnowałem, a ja tylko czekałem na odpowiedni moment.

Czy ufał ludziom? Nie stwarzał takich sytuacji, by musiał od kogośkolwiek czuć się uzależniony. Uznawał kontrolowane kumoterstwo.

– Marek, pan rozumie, realizuję inwestycję, muszę zyskiwać żywiliwość innych ludzi. Za pieniądze betonu pan dziś nie kupi. A z R. chodziłem do szkoły. Teraz on pyta, czy nie miałbym roboty dla jego chłopaka. Sam rozumiesz... Taki ktoś z wywrotkami bardzo nam się przyda. Zajmie się pan tym chłopakiem?

Innym razem, na początku lat 80.

– To jest pan pułkownik W... Ma kłopot z córką. Obronność kraju na tym tylko cierpi. A pan, Marek, pan jest już po wojsku, za którym chyba pan nie przepada. Więc jutro porozmawia pan z tą damą? A pułkownik niech czuwa nad naszym bezpieczeństwem.

Czy miał przyjaciół – nie sędzę. Znajomych – wyjątkowo wielu. A wrogów – wyłącznie.

Miał w sobie w nadmiarze te cechy, których ogromny deficyt wykazywali jego partnerzy i współpracownicy.

Dbął o dobre relacje z Komitetem Wojewódzkim Partii. Wywodził się z tamtego środowiska. Był lojalny i zdyscyplinowany.

– Marek, trzeba w życiu mieć przynajmniej jedną ścianę, o którą możesz się oprzeć, skoro wszystkie inne się na ciebie wała.

Wiosną ubiegłego roku spotkaliśmy się kilka razy. Pretekstem do już wielokrotnie wcześniej prowadzonych rozmów był niedorzeczny i bezkrytyczny projekt wydania składanki „Był sobie wieżowiec”.

Pomysłodawcy powiedziałem: co to znaczy: był? Wieżowiec był, jest i będzie. A pani miała w nim swoje pięć minut, które nie upoważniają jej do robienia o tym miejscu książki, i to za społeczne pieniądze. Jeśli już, to tę pracę należy poświęcić Zbigniewowi Puchalskiemu i ekipie autorów, realizatorów, twórców, którzy ten wieżowiec napelniali treścią. A pani chce zwołać gromadkę swoich koleżanek i kolegów w myśl porzekadła: słyszała żaba, że konia kują... Wymieniłem nazwiska osób, także tych, które nie doczekały zakończenia budowy, ale odegrały istotną rolę w naszym środowisku. Trzeba także napisać o ludziach, którzy robili wszystko, aby Zbigniewowi Puchalskiemu umożliwić realizację koncepcji wielkiego Ośrodka Radiowo-Telewizyjnego. Radiowego w pierwszym rzędzie! Bo wieżowiec to była inwestycja radia, a nie telewizji.

Wszystkie te wykrzywane zarzuty w karłowatym, jednak uwzględnionym zakresie znalazły się w tym bryku. Gdyby nie ta „awantura”, mielibyśmy rzeczywiście kuriozum wydawnicze.

Takie opracowanie winni przygotować wysokiej klasy reporterzy i naukowcy. Panie prezydencie Krzystku, pan finansuje to wydawnictwo – pisałem. Prezydent przysłał mi SMS i skierował do ówczesnej dyrektorki Wydziału Kultury.

– My nie ingerujemy w treść zgłaszanych projektów. Dla nas ważne jest, żeby na okładce wydawnictwa było logo potwierdzające nasz udział finansowy.

Przewodnicząca Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, której edukacją zająłem się swego czasu, by poprawić stopień obronności kraju – odcięła się od pomysłu.

– Nic z tym wydawnictwem nie mam wspólnego.

Ostatecznie została współautorką.

– Marek, ja nie rozumiem, o co tu chodzi. Chcą, żebym napisał coś o inwestycji. Chcą sfilmować moją wypowiedź... Co to ma być? – Zbigniew Puchalski nie krył zakłopotania.

Od słowa do słowa okazało się, że to syn byłego kolegi szkolnego, że w uzupełnieniu tej książki... Że ma kamerę i że chciałby nagrać...

Nic gorszego nad żerowanie na ludzkiej łatwoumierności i oddaniu sprawie.

Nie, Redaktor nie rozkleił się, przynajmniej nie na tyle, by okazać jakąkolwiek słabość. On zawsze i przede wszystkim był na „tak”.

– Taką rzecz to trzeba byłoby... – i już popłynął, kreśląc szkic o

wieżowcu.

I kolejny raz przerobiliśmy całą historię środowiska szczecińskich mediów.

Krew i błoto.

Pierwszy raz zdradziłem Go w 1974, dwa miesiące po przejściu z aplikantury na etat radiowy. Bogdan Wojtczak zachęcał, Władek Wojciechowski, ówczesny zastępca OTV – gwarantował pracę. Tę zacząłem od materiałów do Pegaza. Akurat była rocznica szczecińskich teatrów. Ale po kilku miesiącach uciekłem z telewizji i wróciłem do radia. Zbigniew Puchalski, gdy wszedłem skruszony do jego gabinetu, o nic nie zapytał, nawet chyba się ze mną nie przywitał.

– Marek, niech pan idzie do kadrowej. Ona wszystko załatwi.

Dwadzieścia lat później On sam przyszedł do mnie, do telewizji i zapytał, czy nie mógłbym sprawdzić jego Piotra. Ten po dwóch godzinach został filarem Kroniki Kanału 7. Bardzo zdolny i „telewizyjny” chłopak. Na szczęście wrócił do zawodu prawnika ku wielkiej satysfakcji własnej i Ojca.

Siedzę i odkręcam ten film ze Zbigniewem Puchalskim w roli... drugoplanowej. Bo choć trzymał w ręce najważniejsze sznurki, nigdy nie wychodził na środek sceny. Był mistrzem rozgrywek kuluarowych. Inni w swoich wspomnieniach o redaktorze Puchalskim napiszą o jego medalach, zasługach, przedsięwzięciach. Odkurzą ważne słowa, uszeregują przymiotniki: zacny, porządny, dobry, zdolny, energiczny, skuteczny, zaradny, stanowczy, konsekwentny...

Równie długa jest lista „wad” redaktora Puchalskiego, drapana pazurami przez Jego wrogów: nieprzekupny, uparty, zarozumiały, komuch, ortodoks, szczwany, podstępny, niezatapialny, koniunkturalista, aparatchyk, lizus. I – nie pije!

No tak. To był najmocniejszy zarzut. Z takim nic się nie da załatwić. A o kolegowaniu się – mowy być nie może.

– Ile chcesz zarabiać? Chcesz mieć swój stały program? – ówczesny (1980) szef telewizji, z charakterystycznym uśmiechem, modelowanym na wzór typowy dla przedwojennego kinematografu, był gotów zapłacić każdą cenę, abym wrócił do telewizji. – Masz układy w Warszawie, te same radiowe programy zrobisz w wersji telewizyjnej. Jutro pojedziesz ze mną na Kongres Kultury Morskiej, już załatwiłem, że będziemy wydawali gazetę Ligi Morskiej, a to twoja działka, więc na brak roboty nie będziesz mógł narzekać. Odbudujemy telewizję, oderwiemy się od radia, stanimy na nogi!

Słowa poparł charakterystycznym gestem ocierających się palców prawej dłoni.

Zostałem w radiu.

Po to, żeby niedługo później Puchalski wyrzucił mnie z pracy.

– Marek, co pan zrobił? Prezes Wojciechowski powiedział, że jeśli pana nie zwolnię, to on wyrzuci mnie na zbitą twarz. Dyscyplinarnie! On w południowym wydaniu magazynu „Z kraju i ze świata” usłyszał pana reportaż i rozmowę z kanclerzem Schmidtem. A potem była relacja tego samego „reportera z Radia Szczecin” – jak on wykrzykiwał do mnie przez telefon – a kto to jest? – z konwencji wyborczej Helmuta Kohla, kandydata na kanclerza! Pan z nim rozmawiał? Czy pan zmysły postradał? To nie są nasze tematy. Pan pojechał służbowo na regaty, a nie na konwencje polityczne kandydatów na szefa niemieckiego rządu!

– Ale jako dziennikarz...

– Ani słowa. Proszę natychmiast wyjść z wieżowca. Nie chcę tu pana widzieć ani nic o panu słyszeć. I jeszcze na pierwszej stronie w „Życiu Warszawy” wydrukowali panu ten reportaż. Szef niemieckiego rządu gra na fortepianie! Jak pan to zrobił? Gdyby prezes dowiedział



się, że „Głos Szczeciński” wydrukował te same pańskie materiały na dwóch...? Na trzech stronach? Redaktor Puchalski opadł na krzesło, uniósł gazetę, a ja stałem bez słowa.

– Nie chcę tu pana widzieć przez dwa miesiące. Żadnych telefonów, rozmów z Warszawą. Nic. Proszę nie oddychać!

Słowa dotrzymał. Prezesa zdaje się zmienili po dwóch tygodniach od tamtego zdarzenia. A ja – co było absolutnym ewenementem – gdy wróciłem z banicji, dostałem szklanę herbaty, którą jego nieodstępująca sekretarka Krystyna postawiła przede mną z charakterystycznym uśmiechem.

– Proszę, panie Mareczku.

Kolekcjonował ludzi.

– Marek, trzeba wiedzieć, z kim trzymać.

Prezesa, dyrektorzy banków, naukowcy. Zupełnie pochłonęła go idea tworzenia Uniwersytetu w Szczecinie. Plotki na temat powinowactwa, koneksji rodzinnych Redaktora i władz uczelni przeganiały się w tempie odrzutowca na bezchmurnym niebie.

– Marek, to absolutne bzdury! Profesor Jaskot nie jest moją kuzynką – żartował.

Zakochał się w niektórych osobistościach miasta. Po trudnej relacji z szefem redakcji muzycznej, Zbigniewem Pawlickim, który z naszego radia odszedł na stanowisko dyrektora Krajowego Biura Koncertowego – obaj panowie rywalizowali ze sobą na kolegiach w piękności, retoryce i gestach – zakochał się w Janie Szyrockim. I kupił... Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej.

W przedsierpniowym klimacie 1980 roku załoga postawiła dyrekto-

rowi zarzut niegospodarności, podając za przykład zakup pulpitów pod nuty. Wieżowiec omal nie eksplodował. Radio otrzymało wtedy najnowocześniejsze studio nagraniowe. W tym studiu można było nagrywać wszystko. A w Szczecinie tym wszystkim był CHAPS i prof. Szyrocki.

Latem przeglądałem protokoły kolegów dyrekcyjnych i redakcyjnych z tamtego okresu. Żenujące argumenty, kompromitujący styl i ta bezinteresowna zawiść.

Największa intryga? Na zebraniu załogi, w klimacie solidarnościowego przesilenia, przewodniczący związku Julian Józwiakowski powiedział, że dyrektor Puchalski chce zlikwidować Telewizję Szczecin, a zostawić tylko radio. Nigdy wcześniej i nigdy później tak się w wieżowcu nie zagotowało.

– Marek, to trzeba nie mieć nawet łożu w głowie, żeby dopuścić możliwość takiego rozwiązania, szczególnie w odniesieniu do tej części kraju, przy niemieckiej granicy, w sytuacji niepodpisanego układu pokojowego...

– Zbyszku, a kto tu kogo pyta o racje? Liczy się emocja! – dopowiadał Bogdan Chocianowicz, który w tamtym okresie przeszedł z telewizji do radia.

Tak, Zbigniew Puchalski był człowiekiem wielu błędów. Dużych i małych. Sam wieżowiec ze swoim nieuzasadnionym zadęciem, nie-stety, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Do tego potrzebna była zmiana pokoleniowa przede wszystkim ekipy dziennikarskiej, a potem pozorantów z innych komórek firmy. Koszty utrzymania i eksploatacji budynku były ogromne. Poziom twórczości radiowej i telewizyjnej nie odbiegał od dotychczasowej normy. Ale czy to była wina tylko Redaktora? Po otwarciu gmachu, na pierwszym zebraniu załogi, gdy już ruszył kolejny atak na szefa, ten nie umiał ukryć wzburzenia.

– Koniec. Już starczy waszych narzekań i biadolonia. Macie już wszystko, a nawet więcej niż chcieliście. Nowy wieżowiec, biurka i fotele, sprzęt – więc proszę wreszcie pokażcie, co potraficie.

Z tym sprzętem – przesadził. Na budowę nowego studia telewizyjnego trzeba było czekać dziesięć lat. W istotny sposób mogłem wpłynąć na wznowienie i dokończenie tego procesu.

– Marek, gdybym ja najpierw zbudował studio telewizyjne, oni by się natychmiast od nas odcięli. Zrobiliby rewoltę. A tak, studio zrobimy na końcu jako zwieńczenie całego Ośrodka. W ten sposób nie storpeduję mojego planu.

Strategiem był chyba dobrym, ale taktikiem – nie jestem przekonany. Powyższa wypowiedź nie przysporzyła mu sympatii.

Lubił twórczo „napuszczać” jednych na drugich. Organizował oceny programu, powoływał recenzentów omawiających audycje kolegów, piłował gałęzie pod tymi, których przeciwnicy sami nie dość energicznie robili to wobec swoich antagonistów. Nie tolerował kołtuństwa. Tępił chorobliwe przerosty ambicji. Ale jeśli trafił na człowieka służb – rezygnował.

Nigdy nie powiedział złego słowa o ludziach, których nie ceniał, ale znakomicie stwarzał sytuacje, w których oni sami dawali świadectwo na swój temat.

Cierpiał i wielokrotnie mi mówił, jak nie potrafił sobie radzić właśnie z... tymi, no, wiesz...

Nasze ostatnie rozmowy dotyczyły głównie odtajniania i tak powszechnie znanych faktów.

– Marek, to ty o tym wiedziałeś? – pytał półgłosem, nie kryjąc zdziwienia.

– To było proste... Jeśli pan o kimś nigdy nie wspominał, to tym samym dawał pan jasny sygnał...

Styczeń 1978, nowa umowa o współpracy trzech rozgłośni wybrzeża



– Ale nie pisz o tym – prosił bez żadnej presji ani nacisku. – Tobie to nic nie da, im się też już nie przysłuży. Marek, ty lepiej przyjdź na spotkanie naszego Klubu Ludzi Dobrze Poinformowanych i powiedz, co tam w świecie... Przecież znasz tych wszystkich starców. Oni już nic nie mogą, ale lubią o tym nie myśleć...

Uwielbiał słuchać o tym świecie. Telefonował, zapraszał. Potrafił swoim słuchaniem moich opowieści naprawdę niezłe mnie zmęczyć.

– Marek, no tak, ciebie zawsze interesował świat, ja nie miałem tej...

tej... – i nigdy zdania tego nie dokończył.

Dziesięć lat temu, z okazji 80. urodzin, w dość wąskim gronie, po toaście i życzeniach, usiedliśmy we trójkę z redaktorem Ryszardem Bogunowiczem, z którym obaj panowie razem studiowali, a całe zawodowe życie spędzili w jednej redakcji, zawsze z tym specyficznym dla ludzi tamtego pokolenia sposobem odnoszenia się do siebie, nasyconego wzajemnym szacunkiem. Ryszard Bogunowicz, który słynął z ciętego języka, nigdy nie rezygnował z okazji, by nie przypiąć komuś sympatyczną, ale złośliwą łatkę. Tylko wobec Zbigniewa Puchalskiego zawsze trzymał – z wzajemnością – ten ich jagielloński poziom uniwersytecki. Bardzo im tego zazdrościłem.

I wtedy usłyszałem największy dla mnie komplement.

– Marek, my już damy rady, resztę musi pan bez nas dokończyć... – Ryszard Bogunowicz położył dłoń na moim ramieniu. – Zbyszek, oddaj mu te wszystkie papiery, on to na pewno wszystko wyrzuci. Ty zyskasz na stare lata trochę więcej miejsca w pokoju. A tak, siedzisz, grzebiesz, nie pamiętasz, robisz te swoje dopiski do zapisków (...) – i tu redaktor śpiewnie wygłosił kilka sentencji, nie nadających się do cytowania.

– To jedno mi się nie udało – dodał Puchalski. – Marek, nie pozwól mi, żebym przekazał ci wszystko to, co zrobiłem. Ty umiałbyś to spożytkować. Ale bardziej ciągnął cię cały ten świat.

Nic straconego, panowie Redaktorzy! TAM chyba też mają jakieś radio i telewizję. Porządźmy, ale już nie zbudujmy wieżowca.



„Chłopcy...” – powiedziałyby może dramaturg Stanisław Grochowiak, patrząc na pierwszą i ostatnią okładkę tego numeru. Między nimi leży pół wieku. Łączy je jednak to samo: odwaga, by najpierw coś sobie wyobrazić, a dopiero potem spróbować to zbudować.

Ci z pierwszej mieli wizję. Stworzyli w Szczecinie ośrodek radiowo-telewizyjny niepowtórzony w Polsce i mający zaledwie dwa czy trzy odpowiedniki na świecie.

Ci z ostatniej okładki też mają wizję. Na opuszczonej pochylni stoczniowej wodują papierowe statki. Wiedzą, że nie popłyną. Ale przecież nie o papier tunidzie. Chodzi o potęgę wyobraźni. Każdy wielki statek był kiedyś... papierowym.

Ten numer tworzą ludzie, których głosy zachowały archiwalne taśmy radiowe. Te głosy nadal brzmią. Są niezbędnym łącznikiem między tymi, którzy mieli odwagę budować, a tymi, którzy dopiero uczą się marzyć.

To niezwykle doświadczenie – przez tyle lat patrzeć, jak czas mija, a jednocześnie trwa.

